Posiwiała rzeka – haiku

Tekst: Adam Fiala

Fotografie: Anna i Andrzej Fiala



Posiwała rzeka, fot. Anna Fiala

Posiwiała rzeka

W prześwitach

Zachodzącego słońca



Skamieniałe marzenia, fot. Anna Fiala

Skamieniałe marzenia

Olbrzyma

Z rudą czupryną



Światło, fot. Anna Fiala

Światło i kształty

Zrodzone

Z ciemności



Odbity most, fot Anna Fiala

Odbity most

W rzece Swan

Ma przesmak prehistorii



W blasku, fot. Anna Fiala

W blasku Australii

I martwe trawy

Ożywają



Samotny krab, fot. Anna Fiala

Samotny krab

Wdrapał się na drzewo

I zamarł

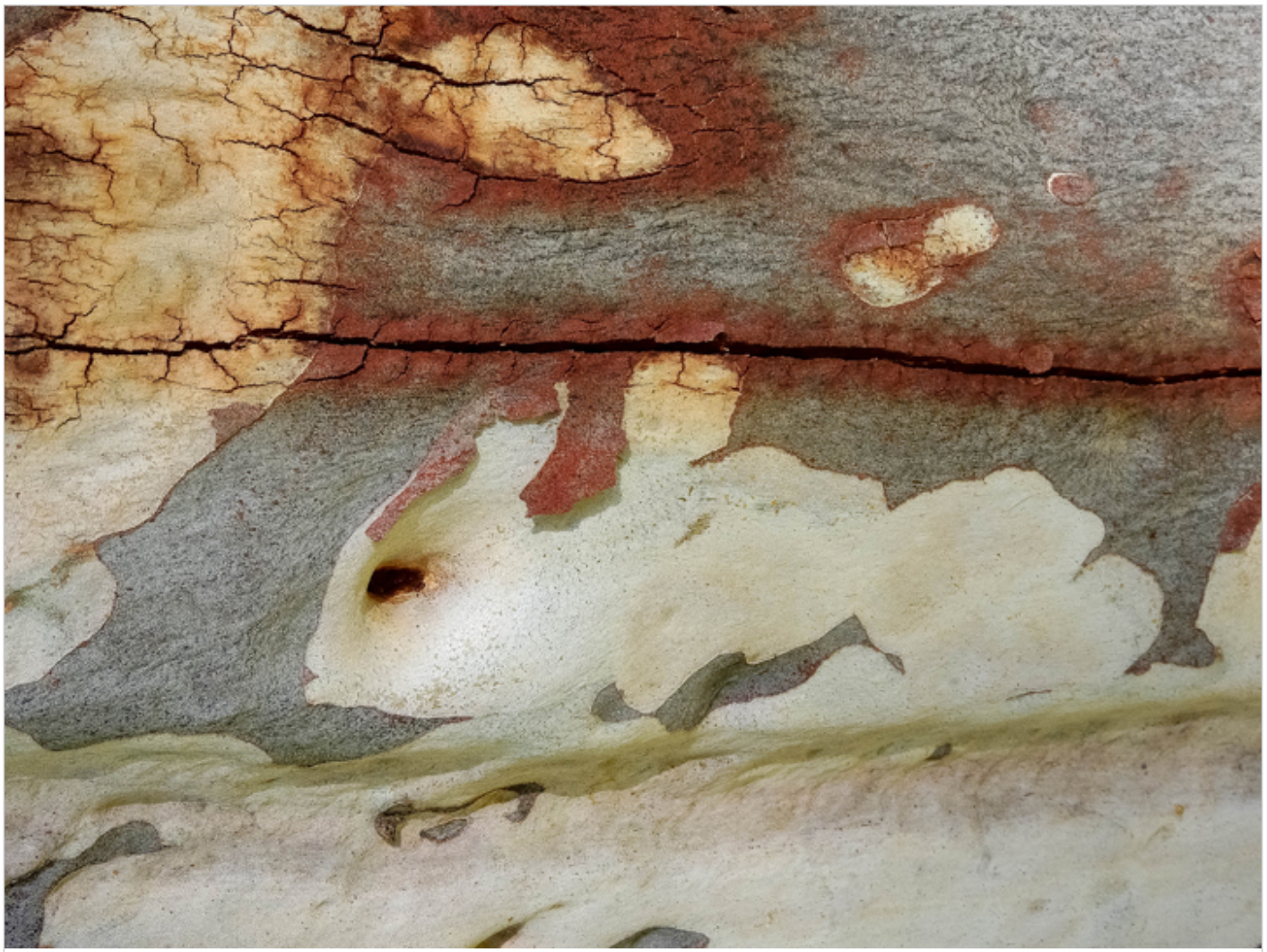


Palma, fot. Anna Fiala

Palma

Która zrodziła

Słońce



Dokąd, fot. Anna Fiala

Dokąd podążasz

Biały króliczku

Tępiony w Australii



Tajemniczy wieloryb, fot. Anna Fiala

Tajemniczy wieloryb

Który zastygł

Na lądzie



Jednooki, fot. Anna Fiala

Jednooki potwór

Niepewny

Swego istnienia



W zielonych koronkach, fot. Andrzej Fiala

W zielonych koronkach

Ukrywają się oczy

między pionem cienkiego nosa



To drzewo, fot. Andrzej Fiala

To drzewo

Pragnie przytulić

Niebo i powietrze



Dwaj leśni mocarze, fot. Andrzej Fiala

Dwaj leśni mocarze

Jeden z nich

Podciąga się ku górze

O Józefie Wittlinie



Józef Wittlin, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Z prof. Florianem Śmieją rozmawia Ewa Wielgosz

Ewa Wielgosz: Jak wyglądało Pana pierwsze spotkanie z Józefem Wittlinem? Kto je zainicjował?

Florian Śmieja: Sądzę, że były to odwiedziny w Nowym Jorku, bo z pobytu w Londynie w czasie mojej rezydencji w Anglii nie mam żadnych pewnych wspomnień. Wprawdzie w liście z 1962 roku Wittlin anonsował możliwość odwiedzin Londynu w drodze powrotnej z Hiszpanii, po wizycie u córki, ale chyba do planowanego spotkania ze mną i kolegami, jak sugerował, nie doszło. Widzenie się w USA było moją inicjatywą, a pomógł je zrealizować Paweł Łysek, który zaprosił mnie do siebie na Long Island.

E.W.: Z jakiego powodu zaproponował Pan to spotkanie?

F.Ś.: Poznawszy w Warszawie Antoniego Słonimskiego, a potem w Londynie Kazimierza Wierzyńskiego, zauważyłem możliwość spotkania innego prominenta poetyckiej falangi poprzedniej generacji. Nie chciałem zaniedbać szansy jak to się stało wcześniej w Anglii, gdzie przegapiłem spotkanie z byłym wojewodą śląskim, Michałem Grażyńskim, który kolegował z moim Teściem, choć zdołałem odwiedzić Adama Ciołkosza. Postanowiłem więc zaproszenie do Nowego Jorku ukoronować wizytą u Józefa Wittlina, poety cenionego za troskę i obronę

wartości etycznych i franciszkańskie pochylenie się nad maluczkimi.

E.W.: W Pańskim Archiwum (Archiwum Profesora Floriana Śmieji) w Bibliotece Uniwersytetu Rzeszowskiego przechowywane są cztery listy, które Wittlin napisał do Pana w latach 1959-1972. Czy poza owym przypomnianym przez Pana spotkaniem, utrzymywaliście Panowie tylko listowny kontakt?

F.Ś.: Te listy, o których Pani wspomina, zachowały się przez przypadek i nie mogę wykluczyć, że nie było ich więcej, ale to trzeba by zweryfikować w korespondencji Wittlina.

E.W.: Jaki był główny temat Pana rozmów z autorem *Soli ziemi*?

F.Ś.: Pod kuratelą doktora Jerzego Pietrkiewicza w School of Slavonic and East European Studies w Londynie studiowałem z grupą studentów brytyjskich powieść *Sól ziemi*, pierwszą część trylogii, którą Wittlin ukończył i wydał. Oczywiście, interesował nas los reszty zamierzonej trylogii.

E.W.: Czyli podczas spotkania w Nowym Jorku zapytał Pan autora o jego plany dotyczące kontynuacji *Soli ziemi*? Jakie miał zamiary?

F.Ś.: Po tylu latach już nie powiem z pewnością, co autor orzekł,

a co było ogólnie wiadome. Panowała opinia, że części drugiego tomu zaginęły w czasie nieudanej ucieczki Wittlina z Francji do Wielkiej Brytanii, że stara się on odtworzyć kontynuację, wreszcie, że trapi autora niemoc twórcza, choć części drugiego tomu wydrukowała paryska „Kultura"w 1972, a bodaj w 1995 roku w Polsce wyszła *Sól ziemi* z fragmentami kontynuacji.

E.W.: W którym roku i pod jaką nazwą dr Jerzy Pietrkiewicz prowadził zajęcia, podczas których omawiano *Sól ziemi*?

F.Ś.: Ja prowadziłem klasę byłych wojskowych, którzy uczyli się języka polskiego, by zostać attache wojskowymi. Były to lata, kiedy pomoce naukowe były liche, istniał podręcznik A. Teslara napisany, zdaje się, dla Szkotek, żon Polaków, służył za wprowadzenie do języka ze słynnym zdaniem o ordynansie, który dawał pić karemu koniowi pana pułkownika czy czymś podobnym. Lekturę wybierał Pietrkiewicz i on forował wtedy *Sól ziemi*. Wprowadził odmienną listę zalecanej lektury. Propagował Paska, Norwida, Irzykowskiego, *Z dnia na dzień* Ferdynanda Goetla, Kasprowicza i Gabrielę Zapolską.

E.W.: Czy *Sól ziemi* stanowiła Panów lekturę obowiązkową? Należała do kanonu czy była to propozycja wykładowcy?

F.Ś.: Może tak się składało, że niezależnie od swoich walorów, powieść była dostępna na rynku.

E.W.: Czy przypomina Pan sobie kwestie, które poruszał dr Jerzy Pietrkiewicz w związku z *Solą ziemi*? Jak ją oceniał? W jaki nurt literatury wpisywał? Może pozostały jakieś skrypty, notatki z tych zajęć?

F.Ś. Za dużo czasu upłynęło i było sporo translokacji, by zachowały się jakieś rekwizyty.

E.W.: W latach 70. odwiedził Pan Wittlinów w ich nowojorskim mieszkaniu. Czy w tym spotkaniu uczestniczyły inne osoby? Żona Wittlina, jego córka, wspólni znajomi Panów?

F.Ś.: W Nowym Jorku, oprócz Pawła Łyska i jego bratanka Jana, był Józef Wittlin i jego żona, Halina.

E.W.: Istnieje fotografia Pana z autorem *Soli ziemi* będąca pamiątką po owej nowojorskiej wizycie. O czym Panowie rozmawialiście podczas spotkania?

F.Ś.: Zachowały się dwie fotografie zrobione w mieszkaniu Wittlinów. Na jednej stoją Paweł Łysek, ja i Józef Wittlin, na drugiej, oprócz nas, stoi także Halina Wittlin. Na pierwszej w ręku trzymam otwarty egzemplarz kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy” z wierszami Józefa Wittlina.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin, fot. arch. F. Śmieji.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Józef Wittlin, Paweł Łysek, Halina Wittlin, Florian Śmieja, fot. arch. F. Śmieji.

E.W.: Jak wyglądał dom Józefa Wittlina? Czy widział Pan miejsce, w którym Wittlin pisał?

F.Ś.: Mieszkanie Wittlinów było na którymś piętrze kamienicy. Pamiętam, że jechaliśmy windą. Oba zdjęcia ukazują salon, a zarazem pracownię pisarza. Rozłożone książki nie pozwalają zdecydować, czy leżą na biurku czy na stole.

E.W.: Czy pamięta Pan legendarne już w pewnym sensie koty Wittlinów? Podobno „uczestniczyły” w każdej rozmowie (bezpośredniej i telefonicznej) gospodarzy z gośćmi, nie

pozwalając się zamknąć na ten czas w łazience?

F.Ś.: Na ten temat nie umiem , niestety, odpowiedzieć.

E.W.: We wspomnianej przeze mnie zachowanej korespondencji Panów, Wittlin pisał o odwiedzinach Jerzego S. Sity oraz lekturze utworów Adama Czerniawskiego, przekazywał na Pana ręce pozdrowienia dla nich, wyrażał nadzieję na wspólne spotkanie. Czy autor *Soli ziemi* poznał jeszcze innych Pana kolegów pisarzy?

F.Ś.: Nie wiem, czy udało się Józefowi Wittlinowi spotkać z moimi kolegami, bo to był problem przeniesienia się na drugi kontynent.

E.W.: Jaka opinia na temat twórczości Józefa Wittlina panowała wśród Pańskich kolegów współtworzących pismo „Merkuriusz Polski" i „Nowy Merkuriusz-Kontynenty"? Czy znaliście Panowie *Sól ziemi*, *Hymny*, eseje Wittlina, jego przekład Homerowej *Odysei*? Jak ocenialiście te utwory jako młodsi „koledzy po fachu"?

F.Ś.: Wymienieni koledzy już jakiś kontakt mieli. Czy jeszcze się zacieśnił, nie wiem. Znajomość dorobku naszych starszych kolegów była przypadkowa, gdyż na emigracji tylko wyjątkowo udawało się przedrukować przedwojenne książki. Rzadkie

egzemplarze były w ważnych bibliotekach, ale trzeba było być w głównych ośrodkach emigracyjnych, by z nich korzystać. Ja ceniłem wiersze Wittlina i jego przekłady Homera. Wielkie wrażenie wywołały później wydane w Paryżu eseje.

E.W.: Jakie wiersze lub eseje Wittlina pozostały w Pańskiej pamięci do dziś? Co takiego, Pan jako pisarz, uznał za wartościowe (może oryginalne) w jego poezji i eseistyce?

F.Ś.: Zapamiętałem obowiązkowe czytanie esejów rozważających dylematy emigrantów i rozmyślania egzystencjalne.

E.W.: Czy zna Pan przekłady poezji hiszpańskiej na język polski dokonane przez Józefa Wittlina? Jak Pan, jako hispanista, je ocenia?

F.Ś.: Przelotnie widziałem te przekłady, ale już nie pamiętam impresji. Pisał Wittlin, że poznał na Harvardzie Jorge Guillena, jednego z wybitnych poetów hiszpańskich i polecił mi go, sądząc, że byłbym dobrym tłumaczem.

E.W.: Józef Wittlin przełożył na język polski utwory Carlosa Bousoño (*Jan od Krzyża*), José Luisa Cano (*Piękno*), Vicente Aleixandre *Dialogi o poznawaniu. Maja i Starucha (Na corridzie)*, Francisco Brinesa (*Ostateczna samotność*), Miguela Hernandeza (*Kołysankę o cebuli*), José Hierro (*Pieśń mająca więźnia ukołysać*

do snu). Co te wybory mówią o artystycznym „smaku” tłumacza?

F.Ś.: W wyborze tych wierszy Wittlin kierował się dobrą znajomością współczesnej mu liryki.

E.W.: W naszej poprzedniej rozmowie, która odbyła się na Uniwersytecie Rzeszowskim przy okazji Sympozjum Naukowego *„Małe ojczyzny* w twórczości pisarzy emigracyjnych” powiedział Pan, że „Wittlin to był moralny człowiek”. Skąd ten wniosek? Jakim człowiekiem jest Józef Wittlin z Pańskich wspomnień?

F.Ś.: Spotkałem człowieka uduchowionego i delikatnego, wywołującego wielkie poszanowanie. Niewiele brakowało, a byłbym go na pożegnanie pocałował w rękę z respektu.

EMiGRA – filmowa

podróż Polaków ze świata



Korzystając z dłuższego pobytu w Polsce z radością przyjęłam zaproszenie na rozpoczęcie najnowszej, IV już edycji festiwalu filmów emigracyjnych EMiGRA, który odbył się w dniach 4-6 listopada 2016 roku w Warszawie.

Jest to niezwykle ciekawe przedsięwzięcie zorganizowane z dużym rozmachem, ukazujące życie Polaków poza krajem. Jest to Festiwal o Polakach na całym świecie i dla Polaków z całego świata. Hasło IV festiwalu to – Kamera na Wschód. Może dlatego

na rozpoczęcie Festiwalu wybrano dwa filmy dotyczące Polaków zza wschodniej granicy.

Jako pierwszy pokazany został wielokrotnie nagradzany film „Ojcu" w reż. Liliany Komorowskiej i Diany Skayi, opowiadający dramatyczne losy Polaków mieszkających w przedwojennej Winnicy. Scenariusz został oparty na poemacie autorstwa ciotki Diany Skayi – Aliny Bandrowskiej, opisującym historię jej ojca Adama Bandrowskiego, który zimą 1938 roku został aresztowany przez NKWD. Podzielił on los ponad 13 tysięcy polskich, ukraińskich i rosyjskich mieszkańców Winnicy zamordowanych przez sowieckie władze pod pretekstem zwalczania wrogów ustroju komunistycznego i szpiegostwa na rzecz Polski. Ciała ofiar zakopano w tajemnicy w masowym grobie w winnickim parku.

Drugi film to „Piano" w reż. Vity Marii Drygas, młodej reżyserki o polsko-litewskich korzeniach. Jest to dokument, którego bohaterem stało się pianino, dodające otuchy Ukraińcom na Majdanie. Studentka konserwatorium, Antonetta Mischenko, zobaczyła jak trzech mężczyzn niesie pianino na barykady. W razie strzałów skutecznie chroniłoby przed kulami. Dla młodej pianistki ten instrument to *sacrum*, musiała więc go bronić. Obiecała przychodzić codziennie na Majdan, aby grać Chopina i hymn Ukrainy. Tak ocaliła pianino. Antonetta Mischenko, piękna czarnoskóra Ukrainka, fenomenalnie grająca na

instrumencie, wydobywająca z niego wszystkie możliwe emocje, na pewno zapada w pamięć i serca widzów. W tym poetyckim obrazie zawarta została historia buntu, marzeń o wolności i wiele dramatycznych przeżyć.

Na otwarciu była aktorka, znana z filmów Andrzeja Wajdy i Krzysztofa Zanussiego, mieszkająca w Montrealu Liliana Komorowska wraz ze swoimi rodzicami. Była też Diana Skaya, urodzona w Armenii, mieszkająca w Kanadzie, pięknie mówiąca po polsku dziewczyna o polskich korzeniach, która poruszona historią swojej ciotki i jej ojca, doprowadziła do powstania filmu. Można było też porozmawiać z Vitą Marią Drygas, młodą reżyserką, ze znanej na Litwie filmowej rodziny.

Na otwarcie przybyły media, m.in. TV Polonia wraz z dyrektor Magdaleną Tadeusiak-Mikołajczak, jak też telewizja z Wilna z programu Wilnoteka.

Pytaniom zadawanym artystom i długim Polaków rozmowom nie było końca. Rozchwytywana była dyrektor artystyczna festiwalu Agata Lewandowski, która dla każdego starała się znaleźć czas i odpowiedzieć na każde pytanie. Dobrze, że są takie inicjatywy, bo jednoczą Polaków ze świata i pokazują ich dokonania, mało znane w kraju.

Oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka

EMiGRA 2016

EMiGRA to nie tylko festiwal filmowy, ale przede wszystkim spotkanie Polaków z zagranicy z Polakami z Polski, takimi jak potomek Mikołaja Radziwiłła „Rudego" – Maciej Radziwiłł, który w związku z projekcją filmu *Radviliada*, opowiedział o ponad 600-letniej historii swego rodu.

W części programowej EMIGRY 2016, w ramach współpracy z Muzeum Historii Polski, pokazana została seria filmów o emigracyjnych dziejach Polaków, a w tym dokument Anny Kuśmierczyk o odnalezionych po kilkudziesięcioletniej rozłąki rodzinach – *Tak daleko, tak blisko*. Podczas EMIGRY poruszone zostały też aktualne tematy nurtujące Europę, takie jak losy uchodźców. W filmach *Dzieci Isfahanu* w reżyserii Artura Witoszka oraz *Iran – druga ojczyzna* w reżyserii Moniki Antkiewicz przypomniane zostały często nieznane wojenne losy Polaków. Ponieważ Polacy mieszkają wszędzie i osiągają za granicą sukcesy zawodowe – tak jak Krzysztof Komeda w filmie Claudii Buthenhoff-Duffy *Komeda – Ścieżki życia*, czy Janusz Głowacki w filmie Rafała Mierzejewskiego *Depresja mon amour* albo Yoram Jerzy Gross – polski rysownik, którego animacje kochają dzieci w całej Australii, przedstawiony w filmie Tomasza Magierskiego *Krakowiaczek ci ja*.

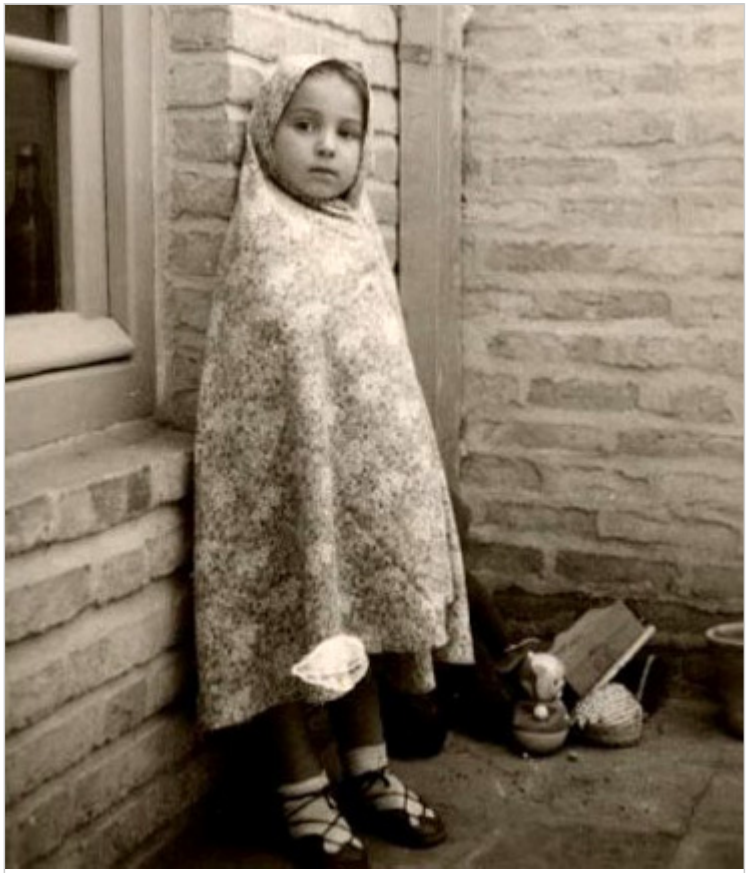
Tematy emigracyjne coraz częściej pojawiają się we współczesnym polskim kinie, dzięki czemu pokazane zostały trzy

pełnometrażowe filmy fabularne, w tym *Kosmos* w reżyserii Andrzeja Żuławskiego, *Wołyń* w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego i *Obce Niebo* w reżyserii Dariusza Gajewskiego. W trakcie EMiGRY 2016 rozpoczął się cykl wykładów o współczesnym kinie polskim skierowany przede wszystkim do Polaków za granicą. Międzynarodowe jury oceniło ponad 30 filmów, które wpłynęły na konkurs EMiGRA 2016 z wszystkich kontynentów, zrealizowanych przez profesjonalistów, twórców offowych, studentów szkół filmowych, a także przez młodzież polską żyjącą za granicą. Nagrody złotej, srebrnej i miedzianej EMiGRY 2016 zostały rozdane 6 listopada w Oranżerii Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie.

Przegląd nagrodzonych i wyróżnionych filmów

Filmy nagrodzone EMIGRA 2016

***Mój irański raj*, reż. Anette Mari Olsen i Katia Forbert Petersen, produkcja: Dania/Polska, 2008,**

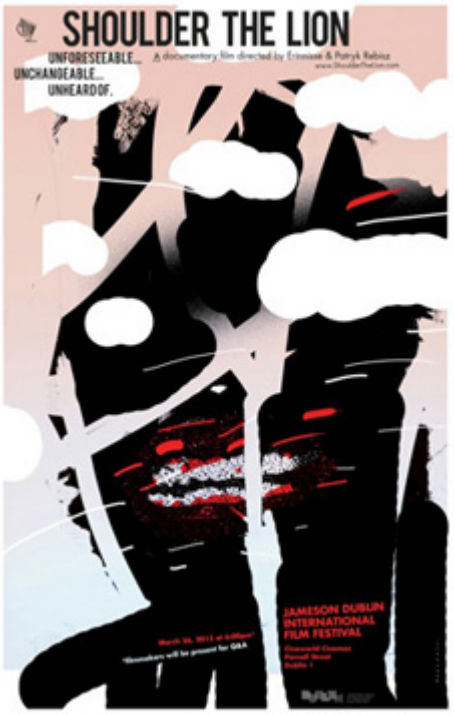


Kadr z filmu „Mój irański raj”.

Dla mnie Iran jest najszczęśliwszym miejscem pod słońcem. Tu spędziłam pierwsze 22 lata mojego życia – mówi autorka filmu Anette Mari Olsen. Dzisiaj, po trzydziestoletniej nieobecności w kraju swojego dzieciństwa, powraca z kamerą, by pokazać jego przeszłość i teraźniejszość. Swoją historię rozpoczyna od opowieści o rodzicach – duńskim inżynierze, współtwórcy linii kolejowej, która w latach 30. XX wieku połączyła północ z południem Iranu, oraz Polce, którą wojenna zawierucha rzuciła najpierw na Syberię, później do Kazachstanu i w końcu do Teheranu. Ta fascynująca podróż w czasie splata się z obrazami

współczesnego Iranu i – trzeba przyznać – jest to wyjątkowo gorzkie połączenie. Wystarczy spojrzeć na plażę, którą duńska reżyserka odwiedzała w dzieciństwie. Niegdyś tętniący życiem kurort to obecnie zdewastowane pustkowie przegrodzone wysokim murem, oddzielającym części przeznaczone dla kobiet i mężczyzn. Dzięki imponującej dokumentacji (zawierającej m.in. materiały Filmoteki Narodowej), Anette Mari Olsen i Katii Forbert Petersen udało się stworzyć film, będący z jednej strony opisem przemian, jakim podlegał Iran w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, z drugiej zaś – intymnym portretem osoby pozbawionej ojczyzny. Anette Mari Olsen mówi biegle po duńsku, polsku, angielsku i w farsi, ale nigdzie nie czuje się u siebie. Jak mówi jedna z jej rozmówczyń: „Kto raz stał się uchodźcą, pozostanie nim na zawsze”.

***Na barkach lwa*, reż. Patryk Rębisz, produkcja: Polska/ USA, 2015**



Bogaty wizualnie film dokumentalny *Na barkach lwa* przedstawiając historie trzech artystów, którzy utracili zmysł definiujący ich sztukę. Film opowiada o znaczeniu obrazów, fragmentarycznej naturze naszych wspomnień i jak nasza świadomość kształtuje to kim jesteśmy w dzisiejszym świecie. Niewidoma fotografka zastanawia się nad siłą obrazów w dzisiejszej nasyconej wizualnie kulturze; muzyk zmuszony porzucić marzenia o graniu z powodu utraty słuchu szuka dla siebie nowej przyszłości; były bokser i malarka (jej historia stała się inspiracją dla oscarowego filmu Clinta Eastwooda *Za wszelka cenę*) szuka swojego miejsca w życiu po utracie połowy mózgu.

***Polak brazylijski*, reż. Basia Jendrzejczyk, produkcja: Polska/Brazylia, 2016**

Reportaż z bardzo dalekiego kraju, gdzie można usłyszeć mowę polską, pomimo, że osoby posługujące się polszczyzną, dawno nie były w kraju, a są i tacy którzy tylko o Polsce słyszeli. Mikołaj Rykowski, społecznik z Chorzowa, zorganizował świąteczny obiad dla Polonii właśnie w Brazylii. O tym jak żyje się naszym rodakom tak daleko i o tęsknocie za korzeniami można zobaczyć w tym reportażu.

***Śledztwo*, reż. Ena Kielska, produkcja: Polska, 2016**

Prywatny detektyw przyjeżdża do Miasta, by rozwiązać mroczną tajemnicę seryjnych zaginięć jego Mieszkańców. Po drodze spotyka dziwnych nieznajomych. Czy uda mu się zmierzyć z niebezpieczeństwem?

***Dawno temu na Śląsku*, reż. Tomasz Protokowicz, produkcja: Polska, 2015**



Kadr z filmu „Fawno temu na Śląsku”.

Bracia bliźniacy, Rysiek i Stefan żyją w prowadzonym przez zakonnice sierocińcu. Znajduje się on w małym miasteczku na Śląsku, gdzie obok siebie żyją Polacy i Niemcy. Mają pecha dorastać w jednym z najpodlejszych okresów w historii tego miejsca, w okresie III Rzeszy. Wkrótce ich drogi rozejdą się, aby skrzyżować się za kilkanaście lat, w niezwykle nieprzyjemnych okolicznościach.

Filmy wyróżnione EMIGRA 2016

Pocztówka z Zaolzia **reż. Izabela Wałaska, produkcja: Czechy, 2015**



Kadr z filmu „Pocztówka z Zaolzia”.

– Różni ich zawód, który wykonują oraz miejsce, w którym obecnie mieszkają. Co jeszcze dzieli lub łączy naszych bohaterów, można dowidzieć się z filmu, który przedstawia ich poglądy na tematy związane z Zaolziem, Czechami, Polakami – tak w skrócie opisują film jego twórcy.

Pomysłodawcą, scenarzystą i producentem filmu jest znana z projektu *Zaolzie potrafi* Izabela Wałaska, a film zrealizował Luděk Ondruška, filmowiec z Czeskiego Cieszyna, znany m.in. z okładki „Zwrotu”.

***Wygrać z przeznaczeniem*, reż. Marek Lechowicz, produkcja: Polska, 2015**



Kadr z filmu „Wygrać z przeznaczeniem”.

Mało znana historia grupy 730 polskich dzieci – ofiar zsyłek syberyjskich z 1940 r. Dzieci te dotarły do tworzącej się w ZSRR armii gen. Władysława Andersa. Razem z wojskiem przeszły przez Turkmenistan do Iranu. Tam trafiły do domów dziecka, początkowo w Teheranie, a następnie w Isfahanie. Losem dzieci

zainteresował się ówczesny konsul II RP w Nowej Zelandii, pan Wodzicki. To z jego inicjatywy pomoc dzieciom zaoferował rząd Nowej Zelandii. Dzieci zostały zabrane z Iranu i przetransportowane do Wellington. W zdecydowanej większości pozostały tam. Film opisuje ich losy. Wykorzystano zdjęcia archiwalne i te zrobione współcześnie w Nowej Zelandii i Polsce (z udziałem grupy rekonstrukcyjnej). Walory artystyczne filmu podkreślają elegie zbudowane z animacji malarstwa Zdzisława Beksińskiego i poezji Zbigniewa Herberta.

***Dead*, reż. Martina Trepczyk, produkcja: Austria, 2015**



Kadr z filmu „Martwy”.

Czarny jest kolorem umysłu i jezior. Rozdarty pomiędzy uwolnieniem i rozpoczęciem, pomiędzy kruchością i determinacją film, jest podzielony poprzez odbijającą powierzchnię wody…
Martina Trepczyk, urodzona w 1990 w Salzburgu, ukonczyła grafikę w Linzu, studiowała reżyserię w Londynie, mieszka i pracuje jako twórca filmów w Wiedniu.

***Repin*, reż. Sofija Skidan, produkcja: Rosja, 2016**



Kadr z filmu „Repin”.

Główny bohater filmu – Sergej, w ciągu jednej nocy przewija się przez różne klasy społeczne. Obserwuje różnicę między nimi, ale ku swojemu rozżaleniu odnajduje także, to co ich łączy, na przykład egoizm czy obojętność. Film przypomina jak ważne jest pozostawać człowiekiem w każdej sytuacji. Dotyka również tematu samotności, rozpaczy i stawia wprost pytanie: poddawać się chorobie czy walczyć o życie?

***Disconnected*, reż. Ben Talar/Ricardo Gonzalez, produkcja: Polska/Wenezuela, 2015**

Historia lubi się powtarzać. 25 lat po upadku muru berlińskiego świat jest nadal podzielony, a ludzie wyobcowani poprzez ściany sieci społecznościowych. Los na krótką chwilę przetnie ścieżki czterech postaci. Czy historia znów zatoczy koło?

Artysta zmaga się z rewolucyjnymi pracami na wystawę. Biegacz stara się trzymać tempo skupiając się na muzyce. A Ona po kolejnej jedno nocnej przygodzie szuka ekscytacji w shoppingu i pozowaniu do selfie. Jedynie Turysta stara się być świadomym miasta i jego skomplikowanej historii dotyczącej Niemców, Żydów, Palestyńczyków i Amerykanów. Ale nawet on jest przegrany w starciu z kołami historii.

***Heart of Hate*, reż. Daniel Witkowski, produkcja: USA, 2014**

Eric – lojalny Neo-Nazista, zakochuje się w Ayla, dziewczynie ze środkowego wschodu. W tym samym czasie brat Erica – Carl, lider grupy Neo-Nazistów, planuje inicjację do wyższej rangi dla Erica.

***Stacja Emigracyjna w Mysłowicach*, reż. Karol Wieniawski, produkcja: Polska, 2016**

Film dokumentalno-historyczny, fabularyzowany. Jego celem jest zwrócenie uwagi oraz przypomnienie o istnieniu największej stacji emigracyjnej z przełomu XIX i XX wieku w Europie Środkowo-Wschodniej, przez którą przeszło 1,4 mln ewidencjonowanych emigrantów zamorskich. Byli to emigranci głównie z Królestwa Polskiego, Galicji, Europy Wschodniej i Południowej. Zabudowania po stacji emigracyjnej częściowo stoją po dziś dzień w Mysłowicach na Górnym Śląsku.

***Zakazana miłość*, reż. Dominik Wieczorek, Tomasz Federowicz, produkcja: Niemcy, 2016**

Film powstał na podstawie książki Dagmar von Gersdorf *Na całym świecie tylko ona* w tłumaczeniu Grażyny Prawdy. Opowiada o zakazanej miłości Elizy Radziwiłł i Wilhelma Hohenzolerna, późniejszego cesarza Niemiec.

***



18 lutego 2017 roku Festiwal Filmów Emigracyjnych EMiGRA po raz pierwszy w Chicago.

www.emigra.com.pl

.

Pani Krysia

O żonie – Krystynie Sadowskiej opowiada Stefan Siwiński.



Krystyna Sadowska, fot. arch. Stefana Siwińskiego

Krystyna Sadowska (1912-2000)

Stefan Siwiński (1918-2009)

W Kanadzie często chodziłem na różne wystawy. Na jednej z nich poznałem swoją późniejszą żonę – panią Krysię. Krystyna z domu Kopczyńska była wdową po artyście Konradzie Sadowskim. Urzekła mnie wspaniałym charakterem – była wielką patriotką i bardzo dobrym człowiekiem.

Pochodziła, podobnie jak ja, z rodziny Piłsudczyków. Jej starszy brat był Legionistą. Kiedy przyszła wojna 1914 roku, ojciec pani Krysi wyposażył go w konia i mundur i wysłał na front. Takie to było wtedy wychowanie. Ojciec uważał, że obowiązkiem Polaka, nawet młodego, jest walczyć o swój kraj.

Z pobytem brata Krysi w Legionach wiąże się opowiadana później historia. Pewnego dnia przyjechał na inspekcję Józef Piłsudski. Zobaczył młodego chłopca w mundurze, (czyli brata Krysi) i podszedł do niego. Ten mu się zaraz przedstawił. Marszałek się uśmiechnął i pyta – *a boisz się mnie? – Nie! nie boję się* – odpowiedział chłopiec. – *No to masz cukierka.*

W Polsce po wojnie była bardzo trudna sytuacja. Kraj był zdewastowany i zrabowany. Wycofujący się z Polski Moskale palili wsie i miasteczka. Ludność chowała się w lasach, żeby ujść z życiem. Powracający z wojny nie mieli więc do czego wracać, trzeba było tę Polskę budować na nowo. Brat Krysi nie mógł znaleźć pracy. Nie przychodziło mu do głowy, żeby prosić o protekcję, bo walczył o Polskę. Na skutek przeżyć i powojennej sytuacji popadł w depresję. I pewnego dnia zastrzelił się. To był wielki cios dla rodziny.

Ojciec pani Krysi przed I wojną światową zajmował się organizacją bibliotek polskich pod zaborem rosyjskim, a matka miała Salon Mody dla obywatelek ziemskich w Lublinie.

Krysia opowiadała mi dużo o Nagłowicach (tych od Mikołaja Reja), gdzie rodzina Kopczyńskich przez jakiś czas mieszkała. Tam ojciec był administratorem kilku majątków Janusza Radziwiłła. Krysia pamiętała, że ludzie chodzili w niedzielę na spacery i ubierali się zawsze w coś najlepszego. Te obrazy były w niej bardzo żywe.

Krysia od dzieciństwa miała duże zdolności do rysunku. Opiekowała się nią znajoma nauczycielka. Opowiadała mi, że jej ojciec, gdy zbierał książki do polskich bibliotek, musiał być też i introligatorem. Zostawały mu więc często ścinki papieru, które dawał dzieciom do zabawy. Krysia na nich z pasją rysowała. Wymyśliła sobie cykl – pochód królewski na Wawel. A miała wtedy pewnie 6 – 8 lat.

Później znajoma nauczycielka, która zauważyła jej zdolności artystyczne, pomogła Krysi w uzyskaniu stypendium do szkoły średniej. Jeszcze przed ukończeniem przez nią szkoły, namówiła, ją żeby złożyła podanie do Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Rektorem Akademii był wówczas profesor Wojciech Jastrzębowski (były Legionista). Jak zobaczył Krysi rysunki, to ją przyjął na próbę, bez dyplomu szkoły średniej. I tak Krysia zaczęła rysować pod kierunkiem wybitnych profesorów Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Na początku było jej trudno, ale rektor Jastrzębowski cały czas ją obserwował. Później zaczęła robić takie postępy, że zbierała wszystkie nagrody i to nie tylko z

rysunku, ale z różnych specjalności. Wszystkiego się bardzo chętnie uczyła.

Tymczasem znów w rodzinie zdarzył się tragiczny wypadek. Zginął ojciec. Został zmiażdżony przez pociągi, które się zderzyły, gdy przechodził przez tory. Kolejna wielka tragedia dla rodziny, długo nie mogli się pozbierać.

Po śmierci ojca matka Krysi z jeszcze dwiema córkami przeniosła się do Warszawy. Matce pomagała jej siostra, która była dyrektorem Gimnazjum dla pań dobrze urodzonych. Zawsze na 1-go przysyłała pieniądze, żeby pomóc w wychowywaniu córek. Siostry Krysi też były wielkimi patriotkami. Zginęły w Powstaniu Warszawskim.

Krysia na studiach miała kiepskie warunki materialne, matka nie mogła jej za dużo pomóc. Wspominała czasem, że musiała wybierać, czy kupić coś do jedzenia, czy farbę. Bardzo często decydowała się na farbę.

Po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, miała bardzo dużo propozycji pracy, bo była wszechstronna, oprócz malarstwa uczyła się tkactwa, robiła gobeliny. We wszystkich tych dziedzinach odnosiła sukcesy.



Krystyna Sadowska, fot. arch. Stefana Siwińskiego

Rząd polski, zaproponował jej, aby wyjechała do Brazylii i tam zorganizowała warsztaty tkackie dla polskiej emigracji, która żyła w wielkiej biedzie. W tym czasie dostała też propozycję od profesora Macieja Masłowskiego z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, który koniecznie chciał ją zrobić swoją asystentką. Wybrała jednak Brazylię i pojechała do stanu Parana, w południowo-wschodniej części kraju. Zastała ciężkie warunki, ogromne niezagospodarowane przestrzenie, dżungla i brak dróg. Polski Konsulat dał jej dwa konie. Dzięki temu mogła jeździć od domu do domu i uczyć tkactwa, głównie dziewczęta, dla których rząd polski zakupił warsztaty tkackie. Dojeżdżała daleko, bo domy były oddalone od siebie o 5-10 km. Przedwojenna emigracja to emigracja zarobkowa. Pośrednikami byli na ogół

Żydzi, którzy sprzedawali emigrantów różnym brazylijskim organizacjom. Jak emigrant przyjechał do Brazylii, to go przedstawiciele tych organizacji zostawiali w lesie i mówili, że może sobie wybrać ziemi tyle, ile chce. Ponieważ w Polsce ci ludzie byli bardzo biedni, to każdy sobie wybrał dużo ziemi i dlatego domy były od siebie oddalone. Zamiast dróg były małe, udeptane ścieżki. Konie pani Krysi wiedziały już jak iść i gdzie iść, mogła puścić lejce i koń sam trafił. Były czułe na zasadzki, bo często kłusownicy zastawiali sidła.

W tym dzikim wówczas rejonie pojawiali się też czasem różni amatorzy przygód. Jednym z nich był Polak, kiedyś zesłaniec na Syberii. Gdzieś na polu postawił sobie namiot i tak mieszkał. Tacy podróżnicy jak pani Krysia, jeśli musieli się gdzieś zatrzymać, zatrzymywali się u niego. Kładli się nogami do środka namiotu i tak spali. On im zawsze dawał kolację. Można też było porozmawiać. To miejsce było niezwykłe i bardzo ciekawe.

Co jeszcze żonie utkwiło w pamięci. Jak chodziła do kąpieli, do rzeki, czy do strumyków, to widziała niesamowicie wielkie żaby, które patrzyły się na ludzi, nie uciekały, nie bały się. Niektórzy ludzie zbierali te żaby, a z ich skór robili torebki. Żabia skóra była jednak kiepska, bo torebka się szybko psuła. Takie różne rzeczy opowiadała pani Krysia, jak tam wyglądało codzienne życie zwykłych ludzi. W wielu domach nie było klozetu, trzeba

było iść za dom. Czasami się zdarzało, że świnia podchodziła do człowieka i popychała go. Tak, więc tam były warunki bardzo egzotyczne.

Polacy byli też zorganizowani. W Kurytybie – stolicy stanu Parana, organizowali bale na cele dobroczynne, żeby pomagać biedniejszym Polakom. Podczas dorocznych bali bywało czasami bardzo wesoło i ludzie mieli dużo różnych, czasami zaskakujących pomysłów. Raz żona znanego doktora, który był założycielem Uniwersytetu i dyrektorem na Wydziale Medycznym, wybrała się na scenę zupełnie goła. To była sensacja, w tamtym czasie to zupełnie nie spotykane.

W Brazylii pani Krysia była 2-3 lata. Miała rożne dobre i złe wspomnienia. Zorganizowała wystawę gobelinów, które robiły jej uczennice i dostała nagrodę – złoty medal od rządu za działalność organizacyjną produkcji gobelinów. Przy współudziale Konsulatu zajęła się również pracą polityczną na rzecz Polski. To się jednak nie spodobało Brazylijczykom i zamknęli ją na parę dni do więzienia. Wypuścili ją po interwencji polskiego Konsula.

Wróciła do Polski, niedługo przed wybuchem II wojny. Ministerstwo Oświaty wysłało ją tym razem w rejon Stanisławowa (obecnie na Ukrainie, ale wówczas to była Polska), żeby tam zorganizowała warsztaty. Tym razem nie tkackie, tylko

garncarskie. Tamtejsi chłopi mieli w tym kierunku duże zdolności, wyrabiali na swój użytek dzbanki, talerze, garnki itd. Krysia zaczęła więc organizować szkołę ceramiki. Ale nie mogła tam wiele zdziałać, bo wybuchła wojna i weszli Moskale. Zabierali polską inteligencję i wywozili do kołchozów na Syberii. Krysia nie chciała się dostać w rosyjskie ręce i przeszła z grupą uciekinierów przez granicę węgierską. To była bardzo ciężka przeprawa, do tego w grudniu. Kiedyś strumyk pokryty cienką warstwą lodu załamał się pod nią i wpadła do wody. Jak doszli do węgierskiej wsi, Węgrzy od razu ją włożyli łóżka i dali jej dużo alkoholu, żeby się rozgrzała. Udało jej się wyjść z tej opresji bez choroby.

Później przedostała się do Paryża. Ponieważ pani Krysia jeszcze przed wojną zdobyła złoty medal we Francji za gobelin, miała już tam swoją renomę jako wybitna artystka.

Z Francji Krysia pojechała do Anglii, tam też znalazł się między innymi rektor Akademii – Jastrzębowski. Byli też inni Polacy, którzy zajmowali się propagowaniem sztuki polskiej i polskiego wojennego wysiłku. Organizowali różnego rodzaju wystawy – architektury, czy rzemiosła artystycznego. Krysia bardzo udzielała się w tych wszystkich inicjatywach.

Po wojnie znów wyjechała do Brazylii. Tam miała wystawę gobelinów, na której jeden z wystawionych gobelinów tematem

związany był z Kanadą. Na wystawie pojawił się konsul kanadyjski. Gdy zobaczył jej rękodzieła, zaproponował Krysi wyjazd do Kanady. Ponieważ miała już dosyć Brazylii, zgodziła się.



Praca Krystyny Sadowskiej

Jej zadaniem miało być zorganizowanie ośrodka haftu w Halifaksie. Lecz tam już był szkocki ośrodek tkacki i Krysia nie mogła dojść do porozumienia z menadżerem tego ośrodka. To spowodowało, że razem z pierwszym mężem, Konradem Sadowskim założyli w Nowej Szkocji studio wyrobów garncarskich i ceramicznych. Zaopatrywali w gliniane naczynia

głównie turystów. Pewnego dnia zjawił się u nich przypadkiem dyrektor Ontario College of Art, który na wakacje zwykle jeździł do Nowej Szkocji. I tak ich odkrył. Zaproponował im pracę w Toronto. Zgodzili się i zostali szefami studia, które zajmowało się ceramiką. Pomogli wyjść na powierzchnię dwóm bardzo zdolnym studentom kanadyjskim. Jeden urodzony tutaj, ale pochodzenia ukraińskiego, a drugi rodowity Kanadyjczyk.

Pod koniec lat 50. Konrad Sadowski zaczął chorować na płuca. Musiał iść do szpitala na operację. Ponieważ mieli znajomego polskiego lekarza w Halifaksie, Konrad pojechał do Halifaksu, aby się leczyć. Jedno płuco, było już nie do użycia, trzeba było operować. Nie wiadomo co się stało z Konradem, bo wypadł ze szpitalnego łóżka i umarł. Krysia podejrzewała, że to jakieś zaniedbanie lekarza. Przypominała sobie potem różne szczegóły, np. że był strasznym flejtuchem. Potem się okazało, że w dodatku to był psychicznie chory.

Koniecznie chciał ożenić się i bardzo chciał mieć syna, ale coś mu to nie wychodziło. Pojechał więc do Polski i namówił studentkę medycyny na przyjazd do Kanady. Pobrali się i mieli syna. Jak ten syn miał ok. 3 lat, pan doktor, w drodze z Halifaksu do Stanów Zjednoczonych, zabił żonę, matkę swojego syna na oczach dziecka. Wiem, że został zdegradowany, zabrano mu tytuł lekarski, ale nie wiem, co się dalej z nim działo, bo znajomi się od niego odseparowali. Dlatego Krysia nie była pewna, czy czasem

się nie przyczynił do śmierci Konrada.



Stefan Siwiński w apartamencie przy Lakeshore w Toronto, na tle obrazu swojej żony, fot. J. Sokołowska-Gwizdka

Ja miałem w Toronto warsztat produkcji mebli i projektowania, a głównymi moimi klientami byli architekci. Pokazywałem Krysi prace, gdzie się dało. Dużo prac zlecili jej potem architekci. W ten sposób byliśmy bardzo blisko związani ze sobą, również i zawodowo.

Krysia to wzorowy obywatel Polski i wspaniały człowiek.

Wszystko by oddała, podzieliła się swoją wiedzą. Nie była egoistycznie wychowana. U nas w Polsce przy wychowywaniu kładziono nacisk, że pracuje się dla kraju, dla rodziny, żyje dla innych, nie dla siebie. Gdy Krysia była szefem wydziału ceramiki w Toronto, to studenci różnych innych wydziałów przychodzili do niej na dyskusję. Inni profesorowie nie byli z tego zadowoleni, bo oni wcale rzetelnie nie uczyli, gdyż bali się, że jak student skończy szkołę, będzie dla nich konkurencją. A ona bezinteresownie dzieliła się swoją wiedzą. Był to na prawdę wspaniały człowiek. Teraz nie ma takich ludzi.

Zawsze była pogodna i radosna. W rozmowach ze mną często podkreślała, że to, co robi, musi jej sprawiać przyjemność, musi być dla niej zabawą. Była pogodnie nastawiona do życia mimo, że przecież przeszła bardzo dużo, straciła wszystkich bliskich. Niektórzy ludzie po takich przejściach stają się zgorzkniali, a ona nie. Mieliśmy w Toronto trochę ciekawych znajomych, np. Wacław Iwaniuk przychodził do nas, albo nas zapraszał. Często przychodził do studia do Krysi, na różne dyskusje. Iwaniuk zbierał kolorowe szkło, interesował się sztuką i zawsze mieli o czym rozmawiać. Miał też swoje grono znajomych, więc czasami spotykaliśmy się w większym gronie, piliśmy kawę, albo wino i dyskutowaliśmy na różne tematy. Ja uważam Iwaniuka za jednego z większych poetów na emigracji. Iwaniuk był też kolegą Jerzego Pietrkiewicza, którego Krysia znała z Londynu. Kiedyś Pietrkiewicz zaproponował jej zrobienie ilustracji do swojej

książki. Ja mu posłałem wzór, jeszcze bez ostatecznej selekcji rysunków. Ale w końcu projekt nie doszedł do skutku.

Nie byliśmy mocno związani z polskim środowiskiem, bo szkoda było nam na to czasu. To środowisko było i ciągle jest, skłócone. Poza tym dużo tu jest snobów, którzy coś udają, chcą być prezesami i prezydentami, ale nie mają ani wykształcenia, ani żadnych zdolności. Szkoda tracić czasu na takich ludzi.

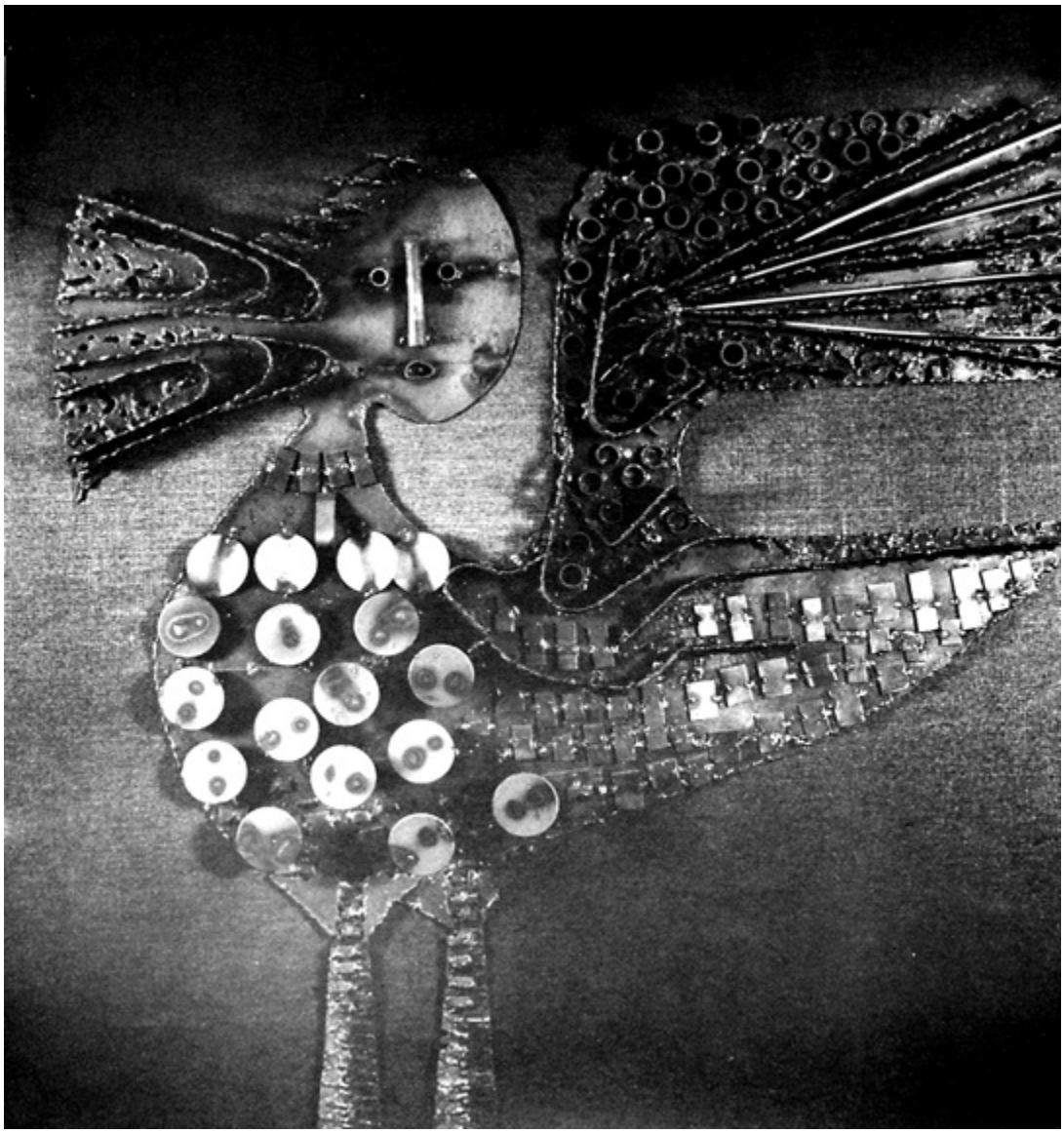
Żona była dla mnie największym przyjacielem. Kiedy wykryli u niej raka płuc, to był dla mnie szok, dla niej chyba też. Zaproponowałem, że oddam jej swoje płuco. Niech usuną jej chore i przeszczepią moje. Ale ona nie chciała o tym słyszeć i strasznie się na mnie obraziła. Ale jeśli nie chciała mojego płuca, to chociaż można było jej to chore płuco usunąć. I ja powinienem być bardziej twardy i powziąć decyzje. A ona się nie zgodziła, ani na operację, ani na chemioterapię. Chemioterapia wtedy nie dawała pewności, a szkody w organizmie były duże i włosy wychodziły. Ona nie chciała się zgodzić na nic, a tymczasem rak się przeniósł z płuc, do jamy brzusznej. Chorowała ok. roku zanim odeszła. Biedna była i strasznie cierpiała. Ale nigdy nie narzekała, nigdy nie wyraziła się, że coś ją boli. Pogodziła się z tym, że musi odejść. Bardzo mi jej brakuje.

Rozmowa została przeprowadzona w 2006 roku w Toronto.

Rozmawiała: Joanna Sokołowska-Gwizdka







Prace Krystyny Sadowskiej

Felietonistka z pazurem



Krystyna Cywińska

Grzegorz Małkiewicz

Krystynę Cywińską poznałem osobiście pod koniec ubiegłego wieku, kiedy rozpocząłem współpracę z „Tygodniem Polskim", sobotnim wydaniem „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza". Była filarem gazety. Na jej felietony czekali zarówno ci, którzy zwykle zgadzali się z jej punktem widzenia, jak i zapiekli adwersarze. Ogromna wiedza, doświadczenie, kultura literacka i osobista oraz żywy język sprawiają, że intelektualne i polityczne spory z Krystyną Cywińską należą do największej przyjemności i w niczym nie przypominają wszechobecnej w polskiej debacie publicznej agresji.

Krystyna Cywińska jest felietonistką rasową, z bardzo ostrym pazurem, z wrodzonym darem polaryzowania postaw, pozbawionym moralizatorstwa. W swoim charakterystycznym, wyostrzonym stylu komentuje wydarzenia polityczno-społeczne od ponad 50 lat. Nie zawsze są to wydarzenia z pierwszych stron gazet, bardzo często dotyczą życia Polaków na Wyspach Brytyjskich. Pretekstem może być najmniejszy, mało zauważalny przez innych fragment naszej, często banalnej rzeczywistości. Dzięki tej różnorodności tematycznej, bliskości środowiskowej (możemy się w felietonach Krystyny Cywińskiej przeglądać i rozpoznawać) powstał poważny dorobek prozatorski, świadectwo epoki, który nie traci nic ze swojej aktualności i literackiej finezji. To duże osiągnięcie, bo felieton jako gatunek prasowej wypowiedzi, ma zwykle krótkie życie, podobnie jak wydarzenia, do których nawiązuje.



Krystyna Cywińska, rysunek.

Krystyna Cywińska felietonowy styl rozpoznała bezbłędnie. Wie, że o czytelnika musi walczyć, że wypolerowany przekaz to śmierć felietonu, tak samo jak nachalne ideologiczne zaangażowanie. Wybitny słuch językowy pozwala autorce przełamywać bariery pokoleniowe, o czym przekonałem się, redagując „Nowy Czas", w którym zaczęła publikować swoje teksty kilka miesięcy po założeniu pisma. Stała się mostem, jaki od początku naszej działalności wydawniczej próbowaliśmy budować między emigracją niepodległościową, przebywającą w Wielkiej Brytanii od czasów wojny, a nowym pokoleniem przybyszy z Polski. Zdobyła wielu nowych czytelników spośród młodej generacji, zatrzymując jednocześnie tych, którzy kiedyś czytali ją na łamach

„Tygodnia Polskiego”.

Mimo 90. rocznicy urodzin jej znakomita pamięć, językowa ekwilibrystyka, poczucie humoru i bystry zmysł obserwacji w zmieniających się szybko czasach powodują, że na jej felietony nadal czekamy z niecierpliwością. Krystyna Cywińska jest niewątpliwie legendą (niestety, ostatnią z żyjących) polskiego dziennikarstwa na Wyspach Brytyjskich. Prezydent Andrzej Duda odznaczył ją Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Order wręczył Jubilatce Adam Kwiatkowski, Sekretarz Stanu w Kancelarii Prezydenta RP odpowiedzialny za kontakty z Polonią i Polakami za granicą w sobotę 15 października 2016 r., przed premierą „Zemsty” w Teatrze POSK-u.

„Nowy Czas”, Londyn, nr 5/223, 2016

Miłość po szkocku.

Prehistoria – kiedy życie było proste.



Glasgow na dawnej fotografii. Stacja kolejowa.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest

jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Anna Habryn

Rozdział 1

Ma na imię Mary. (…) Wychowała się w Glasgow, w przemysłowym, zadymionym mieście, nad rzeką Clyde, którą spływały ścieki z wielu fabryk, między innymi ze stoczni Goran, tej, w której zbudowano wielkie pasażerskie transatlantyki – królowe „Mary” i „Elizabeth”. Były lata trzydzieste. (…)

Mieszkańcy Glasgow – twierdzi Mary – potrafili się bawić, mieli swoisty wdzięk i poczucie humoru. Większość mężczyzn umiała śpiewać i grać na akordeonie. Jeśli nie mieli pod ręką żadnych instrumentów, wkładali między palce rąk suche kostki baranie i wybijali nimi rytm niby grzechotkami. Często tak grali i śpiewali w pogodne letnie wieczory. Śpiewali o Szkocji, Szkoci bowiem zawsze śpiewają o Szkocji, w kółko o zielonych łąkach i polach rodzinnych. Większość z nich zresztą nigdy nie ruszała się z miasta i nigdy nie widziała tych gór, o których śpiewali, bo sąsiedzi Mary nie byli podróżnikami i jeśli ktoś z nich kiedyś dotarł do Londynu, uważano, że widział już cały świat. (…)

Dzieci dookoła było dużo i życie na podwórku wrzało. Rzadko kto miał zabawki, a te dzieci, które je miały, strzegły ich jak najdroższych skarbów. Ale od czego pomysłowość? Dwie puszki po konserwach, ze sznurkiem przewleczonym przez dziurki w ściankach – i już mieli *puszki-chodaki*, na których człowiek czuł się taki wysoki, oczywiście, jeśli potrafił utrzymać równowagę. Skakankę robiło się z kawałka linki do wieszania bielizny. (…)

Charlie, jej mały brat, był częścią jej życia od zawsze. Opiekowała się nim, chroniła go, i matkowała mu. Brał udział w jej zabawach i psotach – z konieczności i z natury rzeczy. (…)

Właściwie, dla Mary wojna zaczęła się dopiero, kiedy pierwsze bomby spadły na Govan. Mieszkali tylko o dwie mile od stoczni,

która była pierwszym celem Luftwaffe. Dorośli mówili między sobą: *O nie, Germańcy nigdy nie przejdą przez Kanał Angielski. Stary Churchill będzie ich bił na plażach, a my wytępimy ich na brzegu.* Nie wiedziała, o czym mówią, ale miała szybko spostrzec, że świat się zmienił. (…)

Mary zawsze najbardziej lubiła wczesne wieczory, zanim jeszcze trzeba było wracać do domu na kolację. Ale teraz coraz częściej wyły syreny i wszyscy szli do schronu. Po drodze, czasem widziała samoloty i – przysięga na to – lecące z nieba bomby. Wszystko było fascynujące. Wczesnym rankiem ludzie grzebali w gruzach szukając resztek swojego dobytku. Wszyscy opowiadali sobie, gdzie spadły bomby ostatniej nocy.

Któregoś jesiennego dnia (*to było 1 października 1940* – mówi Mary), w słoneczne, jasne popołudnie, Matka zawołała ją z okna. W jej głosie było coś tak dziwnego, że Mary popędziła najszybciej, jak mogła. Mama szlochała, skulona na klęczkach, na podłodze, w kuchni.

– Twój tatuś nie żyje!

Mary zapytała niepewnie:

– Co to jest „nie żyje”?

Mama zajrzała dziecku w oczy i zastanowiła się chwilę:

– To znaczy… poszedł do nieba.

To brzmiało lepiej. Mała objęła matkę rączkami za szyję i powiedziała:

– Nie płacz, znajdziemy drugiego.

(…)

Z dnia na dzień życie zmieniało się na gorsze. Matka sprzedała stopniowo wszystkie meble, ze wspaniałym pianinem na czele. Zabawki Charliego i Mary zniknęły z domu już dawno. Żywność kupowano na kartki. Cukru brakowało, używano sacharyny. Kobiety nauczyły się gotować zupy bez mięsa, na odrobinie margaryny. Cała Szkocja jadła owsiankę, której Mary nienawidziła. Osiągalna była ryba – i kości, tylko kości.

W okolicach Bożego Narodzenia bywało ciężej, niż latem. Dzieci kochały śnieg, robiły z niego bałwany, ale kiedy topniał, buty przemiękały natychmiast. Miewali oboje z Charliem okropne bąble na stopach, które próbowali suszyć i ogrzewać przy kominku.

Węglarz przychodził raz w tygodniu. Węgla było w ogóle mało.

Niedaleko ich domu zaczynała się najuboższa dzielnica miasta. Ludzie tam wiedzieli, kiedy przybywały pociągi z węglem i wtedy kto żyw ciągnął na tory: mamy, babcie, nawet pięcioletnie dzieci, wszyscy zbierali drobny węgiel rozsypany na torach. Ładowali go do starych wózków dziecinnych i taczek. Kobiety miały fartuchy pozszywane brzegami jak torby i zginały się pod ich ciężarem w pół, ale to nie węgiel pokrywał pyłem ich twarze, one były zawsze smutne i postarzałe przed czasem.

Dla dzieci wszystkich wyznań jednakowo, Boże Narodzenie było okazją jedyną w roku. Dzieci życzyły sobie choinki i prezentów, takich jak w domach kolegów i na wystawach wielkich sklepów.

Mary przypomina sobie, jak tuż przed którymiś świętami podczas wojny odkryła w szafie przygotowane dla niej i Charliego paczki. Bardzo żałowała wtedy swojej ciekawości. Marzenia i oczekiwania były o niebo piękniejsze niż rzeczywistość: szmaciana lalka, dwie mandarynki, czekoladowe pieniążki – i to wszystko. Miała jeszcze nadzieję, że do świąt jej paczka się powiększy. Niestety. Była zawiedziona, ale nie pisnęła słówka, bo dostałaby solidnego klapsa, gdyby matka wiedziała o jej myszkowaniu po szafach.

Święta były i tak ciekawe, bo szkoły i teatry wystawiały przedstawienia dla dzieci, jasełka, musicale i pantomimy: występowali prawdziwi artyści, światła i muzyka wzruszały do

łez, nawet jeśli się nie rozumiało ich sensu i nikt nie zadał sobie trudu, by ten sens wyjaśnić.

Po jednym takim przedstawieniu Mary postanowiła, że kiedy dorośnie, zostanie artystką. Najlepiej tancerką.

Ogólnie – życie było piękne.

(…)

Matka była zawsze otoczona rojem mężczyzn różnych narodowości, miała w czym wybierać. Chodziła z sympatycznym Kanadyjczykiem, nawet korespondowała z jego rodziną w Kanadzie, ale zabito go na froncie. Potem był Henry Lang, oficer brytyjskiej marynarki, też miły, ale Mama stwierdziła, że jest niepoważny. Następny, Bill Johnson, był prawdziwym dżentelmenem, ale nie umiał tańczyć. A potem pojawił się Jan Rogacki, Polak, olbrzymi, przystojny marynarz o łagodnych, brązowych oczach.

– Ciekawe – mówi Mary – Jan też nie umiał tańczyć, a jednak matka zaręczyła się z nim.



Mary i jej brat Charlie.

Mary i Charlie zobaczyli Jana pierwszy raz w 1942 roku. Jego okręt „Błyskawica”, przypłynął do Broomilaw dla przeprowadzenia przeglądu technicznego i niezbędnych reperacji. Jan poszedł z kolegami do klubu dla cudzoziemskich marynarzy i tam zawarł znajomość z dwiema Irlandkami, siostrami, które z kolei zapoznały go ze swoją przyjaciółką.

Nazywała się Sheila Ross (Catherine, ale kazała mówić na siebie Sheila). Była samotną matką z dwójką dzieci. Stracił dla niej głowę od razu.

Mary była nim zachwycona. Był łagodny, nie mówił wiele, podziwiał, kiedy popisywała się dla niego tańcem, przynosił im czekoladę. Matka dostawała od niego jedwabne pończochy i podarunki ze wszystkich portów, do których „Błyskawica" zawijała w swoich rejsach.

Jan nie był jedynym Polakiem na horyzoncie. Ciotka też chodziła na randki z jakimś polskim żołnierzem. Jan pojawiał się na przepustkach dość często i zawsze coś przynosił. Matka rzuciła pracę i zaczęła napomykać, że Jan będzie ich tatusiem. Znowu spali w normalnych łóżkach, jadali regularnie posiłki, a dom był czysty i wysprzątany. Wraz ze swoją wypłatą Jan wnosił do ich życia normalność.

W wolnych chwilach majsterkował. Nie miał wprawdzie narzędzi, ale i tak potrafił zrobić stolik do kawy, na trzech nogach. Zrobił ich kilka, a Mary sprzedała je swoim koleżankom w szkole, po siedem szylingów i sześć pensów – to był majątek!

Jan potrafił zrobić sidła i złapać w nie gołębia. Pieczone gołąbki – to był prawdziwy rarytas na ich stole. Jan postarał się o nowe ręczniki i pościel, a koce na pewno pochodziły z „Błyskawicy", no

bo skąd? Były wprawdzie niewielkie, ale Mary znowu było w nocy ciepło. Te koce miały jej służyć przez całe lata. Jadąc do Australii też zabrała je ze sobą.

Któregoś dnia Jan przywiózł hamak. Powiesił go na podwórku, na hakach wbitych z jednej strony w ścianę komórki na węgiel, a z drugiej do muru schronu przeciwlotniczego, ponad workami z piachem. To była najpiękniejsza huśtawka w całym Glasgow! Hamak mógł pomieścić jednocześnie nawet trójkę dzieci. Mary lubiła się na nim kołysać – i marzyć, patrząc na przepływające obłoki. Spokój nie trwał jednak długo. „Błyskawica" popłynęła gdzieś daleko, a matka wymyśliła coś nowego.

Mary miała zaledwie osiem lat, a Charlie sześć, kiedy matka zgłosiła się na ochotnika na wyjazd do Anglii. Była dobrym fachowcem, pracowała jako operator dźwigu, ale nie musiała nigdzie wyjeżdżać, każdy by zrozumiał, że jej dzieci potrzebują jej na miejscu. Nie: pojechała. Nawet nie zgodziła się, żeby ją Charlie odprowadził na stację, bo dzieciak nie miał odpowiedniego ubrania. Przyniósłby jej wstyd. Oczywiście, nie zostawiła ich na łasce losu, powierzyła ich opiece swojej siostry, Christine. Właściwie Mary nawet lubiła tę ciocię. Tylko że ciocia Chris była sama w trakcie rozwodzenia się z mężem, a jej własny synek został umieszczony w domu dziecka z powodu zaniedbania.

Owa „opieka” wkrótce się cioci znudziła. Zaczęło się od wyprzedaży resztki mebli. Zniknęły też zabawki. Spali na podłodze i trzęśli się z zimna, bo nie mieli ciepłej odzieży. Pożerały ich pchły, wszy i świerzb. Mary płakała gorzko, kiedy ścinano aż do skóry jej gęste blond włosy. Charliemu też ogolono głowę. Dzieci w szkole wyśmiewały się z nich, toteż Mary przestała chodzić do szkoły. Wagarowała całymi tygodniami. Próbowała napisać do matki, nie dostała odpowiedzi.

Matka przysyłała ciotce co tydzień 10 szylingów na utrzymanie dzieci. Ciocia, tak jak przedtem mama, wręczała Mary pieniądze i listę zakupów – i Mary musiała wystawać w kolejkach po żywność.

Któregoś tygodnia, wychodząc na zakupy, Mary zjeżdżała po poręczy schodów. Banknot wypadł jej z ręki i wyfrunął przez otwarte okno porwany przeciągiem. Przez godzinę czołgała się na czworakach po ulicy, bezskutecznie szukając swojej zguby. Ciotka wpadła w furię, bo pierwszą pozycją na liście zakupów były zawsze jej papierosy. Wrzeszczała: „Nie kłam, gdzie masz pieniądze, ukradłaś, gdzie schowałaś?!” Zamknęła Mary w pokoju na pół dnia, bez jedzenia i picia, a wieczorem pojawiła się w drzwiach z trzcinową trzepaczką. Zbiła dziewczynkę tak mocno, że krew spływała jej po nogach. Zachowywała się, jakby oszalała, aż ktoś z sąsiadów z dołu usłyszał awanturę i interweniował.

Następnego dnia Mary poszła do szkoły – i dopiero wtedy podniósł się krzyk. Nie wyglądała pięknie ze swoją łysą głową w bandażach, z siniakami i otwartymi ranami na nogach. Postanowiono, że Mary i Charlie zostaną ulokowani w domu dziecka. Ich matka pojawiła się w samą porę – po dziewięciu miesiącach nieobecności.

Niestety, szczęście trwało krótko: po tygodniu pojawił się również matki świeżo poślubiony mąż. To nic, że była zaręczona z „głupim Polakiem". Jan leżał ranny w Algierze, a ona wyszła za angielskiego marynarza z Birmingham. To był awans społeczny.

Marynarz nienawidził dzieci, a co gorsze, był komunistą i bił matkę, a Mary gryzła go i kopała krzycząc: „Zostaw mamę, daj mamie spokój!" – aż przyjeżdżała policja. Małżeństwo rozsypało się wkrótce, ale rozwód matka dostała dopiero po wojnie, kiedy wrócił Jan. I jeszcze musiała przy rozwodzie wziąć na siebie winę cudzołóstwa…

Los jest złośliwy – myślała Mary później, kiedy rozpamiętywała tę historię.

Ciotka Chris, która tak ją zbiła, miała długo wyrzuty sumienia. Na 12 urodziny, już po wojnie, kupiła Mary najwspanialsze wrotki, jakie można było dostać w sklepach. Mary jeździła na nich po ulicach jak szalona, skakała w górę, robiła salta i obroty

w powietrzu. Czuła się jak Sonia Heine. Nie rozstawała się z wrotkami nawet w nocy, kładła je pod poduszkę. Niestety, jej swoboda trwała krótko. Niedługo potem musiała się zająć małą siostrzyczką.

Sandra urodziła się w roku 1946, dokładnie w którąś tam rocznicę tego dnia, kiedy jej ojciec, czyli Jan Rogacki, omal nie stracił życia na morzu. Ważyła dziewięć funtów i miała oczy jak Jan. Ojciec trzymał ją w rękach wysoko nad głową, tak, jak sportowcy prezentują swoje puchary stojąc na podium zwycięzców – i obwieszczał światu radośnie: *Moja kochana Sandrianna Rogacka!*. Mary czuła się szczęśliwa, jak nigdy w życiu.

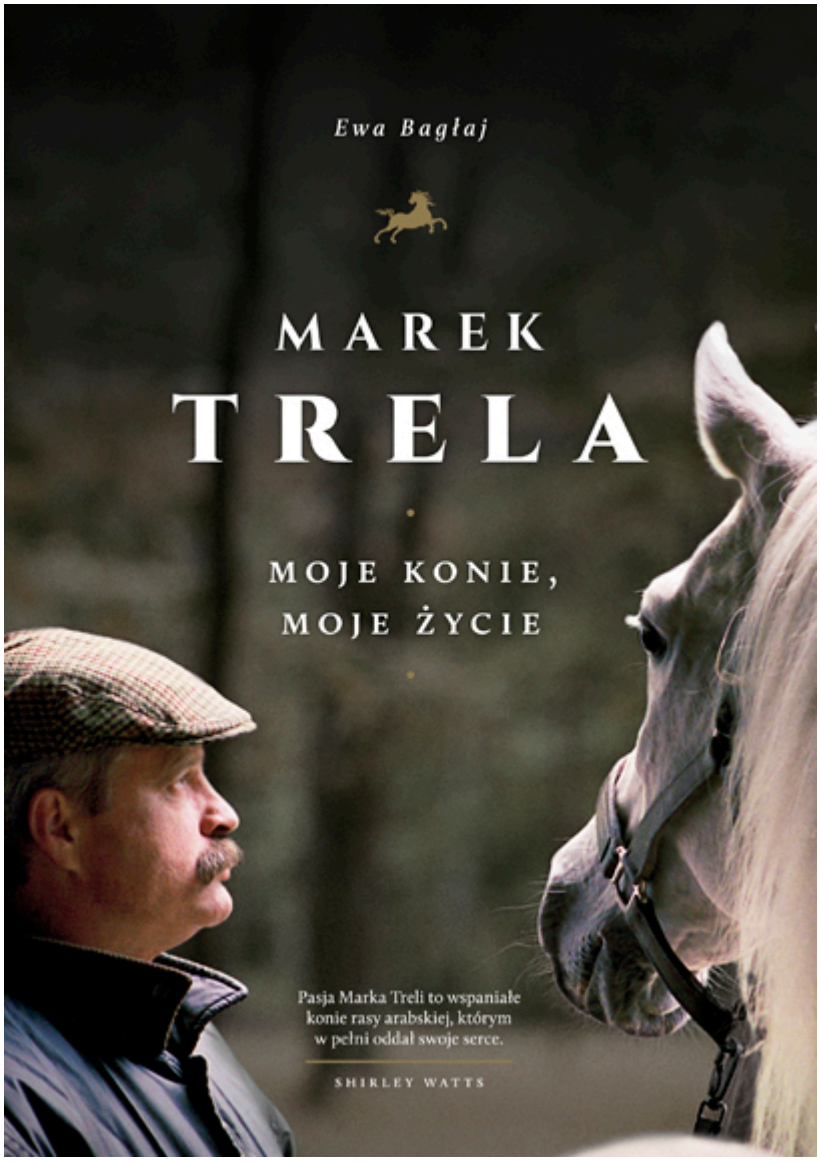
Maleńka siostra była dobrym dzieckiem. Nigdy nie płakała i była śliczna. Mama robiła jej kaftaniki na drutach. Ojciec kupił maszynę do szycia, a że Sheila nie umiała nawet nawlec igły, Mary z dumą pomagała jej opanować tajniki szycia, jako że tego nauczono ją w szkole. W końcu wspólnym wysiłkiem sporządzono nie tylko sukieneczki we wszystkich kolorach tęczy dla Sandry, ale i dwie spódniczki dla Mary, jej pierwsze od lat nowe sukienki!

Jana zdemobilizowano w 1947 roku, a w październiku 1948 Sheila i Jan Rogacki wzięli ślub. Wyprowadzili się do Kirkcaldy. I tak skończyła się epoka Glasgow – i dzieciństwo.

Rozdział 2 ukaże się w poniedziałek 13 marca 2017 r.

Konie – pasja i miłość

Rozmowa z Ewą Bagłaj, autorką książki „Marek Trela. Moje konie. Moje życie” o polskiej tradycji w hodowli koni czystej krwi arabskiej, najstarszej polskiej stadninie w Janowie Podlaskim i jej wieloletnim dyrektorze, Marku Treli oraz o miłości do koni i pasjach pisarskich samej autorki.



Joanna Sokołowska-Gwizdka: W grudniu wyszła pani książka „Marek Trela. Moje konie, moje życie” (wyd. Instytut Wydawniczy Erica). Jest to piękna opowieść o koniach, ich rodowodach i pasji bohatera. Inne pani książki („Broszka”, „Dublerka”, „Prymuska”), też są związane z końmi i tematyką jeździecką. Skąd u Pani te zainteresowania?

Ewa Bagłaj: Urodziłam się z tą pasją. W dodatku tak się szczęśliwie dla mnie złożyło, że dorastałam w pobliżu Janowa Podlaskiego z jego słynną stadniną. Mogłam więc oglądać organizowany tam co roku narodowy pokaz koni czystej krwi arabskiej oraz aukcję Pride of Poland. Tymi wydarzeniami żył cały region. Do dziś mam zbiór wycinków z miejscowej prasy, która zawsze poświęcała dużo uwagi janowskiej stadninie i nazywała ją perłą południowego Podlasia.

JSG: Konie w polskiej kulturze i historii mają swoje znaczące miejsce. Jest w nich dużo romantyzmu. Kojarzą się z polską husarią, kawalerią, a także ze sportem, w których odnosiliśmy sukcesy. Są obiektem wielu znakomitych obrazów malarskich. Czy w Janowie Podlaskim są potomkowie koni ze stadniny Dzieduszyckich, które znalazły się na obrazach Juliusza Kossaka?

EB: Tak, i jest to jedna z najbardziej niezwykłych rzeczy w polskiej hodowli. Patrząc na dzisiejsze araby, obcujemy z żywym pomnikiem historii naszego kraju. Konie, które hrabia Juliusz Dzieduszycki sprowadził z pustyni w pierwszej połowie XIX wieku, czyli między innymi sportretowane przez Juliusza Kossaka siwe klacze o imionach Gazella, Mlecha i Sahara, założyły cenne rodziny, które przetrwały aż do tej pory. Polacy kontynuują ich hodowlę od prawie dwóch wieków w czystości rasy i przy zachowaniu ciągłości dokumentacji, czyli rodowodów. To ewenement na skalę światową. Udało nam się tego dokonać mimo licznych powstań narodowych, utraty niepodległości państwa na sto dwadzieścia trzy lata oraz dwóch wojen światowych! Kilka razy traciliśmy stado niemal doszczętnie i za każdym razem nasi wybitni hodowcy potrafili je odbudować. Z każdej zawieruchy dziejowej ludzie świadomi wartości i znaczenia tych koni starali się ocalić chociaż część zwierząt. Ratowali je z narażeniem życia. A następnie odtwarzano stado, rozwijając je nie tylko pod względem liczebności, ale też osiągając coraz lepsze rezultaty w zakresie cech użytkowych

oraz urody kolejnych pokoleń. Od czasu ostatniej wojny osiągnęliśmy taki postęp, że inne kraje, także arabskie, zgodnie przyznały nam miano najlepszych hodowców koni tej rasy na świecie.

JSG: Jakie jeszcze są rodowody koni ze stadniny w Janowie?

EB: Końskie rodziny, czyli linie żeńskie i rody męskie, wywodzą się od klaczy i ogierów sprowadzanych z Półwyspu Arabskiego nie tylko przez Dzieduszyckich, ale również przez innych magnatów. W okresie poprzedzającym rozbiór Rzeczypospolitej majętne arystokratyczne rody zakładały pierwsze na naszych ziemiach stadniny tej rasy. Pod zaborami araby hodowano nie tylko dla przyjemności, prestiżu czy rozrywki, ale też z pewną misją. Dzięki swoim znakomitym cechom użytkowym mogły one poprawiać wygląd, szybkość i wytrzymałość wierzchowców dla kawalerii, która miała nas wyzwolić. Ze względu na tak pożądane zalety, rasa ta zawsze należała do najcenniejszych. Za jednego konia czystej krwi nasi przodkowie potrafili zapłacić równowartość kilku majątków ziemskich w złocie! A mimo to Beduini, ze względów religijnych i militarnych, jedynie w wyjątkowych sytuacjach godzili się odsprzedawać „niewiernym" swoje rumaki, na których dokonywali podbojów.

W Polsce tabuny koni szlachetnych lokowano głównie na Kresach Wschodnich, gdzie miały najlepsze pastwiska. Okres prosperity

tych prywatnych stadnin przypada paradoksalnie na czas zaborów. Prócz Dzieduszyckich araby hodowali z największym powodzeniem Sanguszkowie, Braniccy, a potem również Potoccy w Antoninach. Wielu cennych przedstawicieli tej rasy przywiózł ze swoich wypraw na pustynię w epoce romantyzmu Wacław „Emir" Rzewuski, jeden z naszych najsłynniejszych podróżników, ekscentryczny szlachcic i zamiłowany jeździec, uwieczniony jako „Farys" w poemacie Adama Mickiewicza.

Rewolucja bolszewicka przyniosła kres magnackim stadninom, ale część uratowanych z pożogi koni trafiła ostatecznie do pierwszego państwowego stada na ziemiach polskich, jakie założono w Janowie Podlaskim, za pozwoleniem cara Aleksandra, już w 1817 roku. Hodowano tam najpierw typowe konie kawaleryjskie, głównie półkrwi angloarabskiej, natomiast araby czystej krwi pojawiły się dopiero w okresie międzywojennym. Dzięki talentowi hodowlanemu kierownika Stanisława Pohoskiego już po kilkunastu latach janowskie klacze i ogiery eksportowano za granicę. Zdobywały uznanie w Europie, a nawet w Stanach Zjednoczonych, ale zniweczył to wszystko wybuch drugiej wojny światowej. Dopiero legendarny dyrektor Andrzej Krzyształowicz, przyuczony do zawodu przez Pohoskiego, dokonał cudu i wieloletnią pracą wyniósł janowską hodowlę na światowy szczyt.

JSG: Jakie słynne konie czystej krwi arabskiej wyhodowano w

stadninie? Proszę opowiedzieć o Pianissimie?

EB: Pianissima to daleka potomkini klaczy Sahara ze stadniny Dzieduszyckich, wnuczka ogiera Eukaliptus, który pozuje do zdjęcia z Markiem Trelą na okładce książki. Ta polska klacz została okrzyknięta nowym ideałem konia arabskiego, swoistym „wzorcem metra", do którego porównuje się inne araby wyhodowane na świecie. Pianissimę wyhodował następca dyrektora Krzyształowicza, wyznaczony przez niego samego i przygotowany do objęcia tej funkcji Marek Trela. Zasłynęła jako charyzmatyczna klacz pokazowa, która w swojej karierze wygrywała wszystkie czempionaty, w jakich brała udział na kilku kontynentach, i zdobyła rekordową liczbę nagród. Została pierwszą w dziejach laureatką Platynowego Pucharu Świata w Paryżu, nagrody wymyślonej dla koni „najlepszych z najlepszych", które mają już na swoim koncie tytuł czempiona świata.



Marek Trela (z prawej) i Andrzej Krzyształowicz, fot. Stuart Vesty, 142 s. książki.

JSG: Opisuje Pani dramatyczną historię wojenną stadniny i postać niemieckiego płk. Fellgiebela, dzięki któremu uwolniono z więzienia w Lublinie masztalerzy skazanych na śmierć i który był zaproszony do Polski po wojnie. Jak Pani trafiła na te informacje?

EB: Opowiadał mi o tym pan Trela, referując to, co usłyszał bezpośrednio od dyrektora Andrzeja Krzyształowicza, którego to zaangażowano jako opiekuna i przewodnika Fellgiebla podczas jego pamiętnej wizyty w Polsce w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Marek Trela powoływał się też na wspomnienia starych masztalerzy, których zastał jeszcze w Janowie, kiedy przyszedł tam do pracy w 1978 roku. Ludzie ci pracowali w stadninie w czasie okupacji hitlerowskiej lub też wywodzili się z okolicy, więc byli świadkami, a nieraz nawet uczestnikami opisanych w książce wydarzeń. Część wiedzy o tamtym okresie historycznym zaczerpnęłam też z książek, m.in. „Konie rubinowe" Ireneusza J. Kamińskiego. A także publikowanych w kwartalniku „Araby" wspomnień dyrektora Krzyształowicza.

JSG: Z Pani książki dowiedziałam się o wielu aukcjach koni na świecie, m.in. o aukcji Polish Ovation Sale w Arizonie w 1985 r. Czy duże jest zainteresowanie Polonii aukcjami koni z Polski?

EB: Wśród uczestników aukcji Pride of Poland zdarzają się osoby będące w pierwszym czy drugim pokoleniu imigrantami z Polski, lecz nie pokusiłabym się o ocenę, jak duże jest to zainteresowanie. Najwięcej kupców w ostatnich latach wywodziło się z krajów arabskich. Bywa, że w imieniu właściciela zagranicznej stadniny licytuje jego przedstawiciel, którym jest zatrudniony tam Polak. Jesteśmy znani z dobrego podejścia do koni, dużej wiedzy i doświadczenia w ich hodowli, dlatego wielu

fachowców polskiego pochodzenia można spotkać w takich miejscach. Na przykład w stadninie państwa Shirley i Charliego Wattsów, Halsdon Arabians w Wielkiej Brytanii, przy kilkuset arabach, z których duża część urodziła się w Janowie Podlaskim, pracuje wyłącznie polska obsługa.

JSG: To już druga pani biografia, po „Słonecznej dziewczynie. Opowieści o Klementynie Sołonowicz-Olbrychskiej" – matce Daniela Olbrychskiego. Co fascynuje Panią w biografiach?

EB: Biografia daje możliwość przyjrzenia się z bliska wyjątkowemu człowiekowi. I nie chodzi mi tylko o konkretne zasługi dla społeczeństwa, które często stają się powodem do napisania o kimś książki. Ale przede wszystkim o jego indywidualność, czyli osobowość i drogę życiową, wybory i ich konsekwencje, relacje z ludźmi. Lubię proces poznawania drugiej osoby w sposób uważny i nieśpieszny, na jaki pozwala ten typ pisania – w przeciwieństwie do nieraz z konieczności powierzchownych kontaktów, do jakich zmusza tempo przygotowywania krótkich wywiadów dziennikarskich. Fascynuje mnie też możliwość przekazania efektów takiego spotkania innym ludziom, czytelnikom. Staram się dzielić zdobytą wiedzą o konkretnej dziedzinie, z którą związany jest bohater opowieści, ale też wynikającą z jego życiorysu refleksją o ludzkim losie. Czyli tym wszystkim, co może stać się odpowiedzią na nurtujące kogoś pytanie dotyczące jego własnego życia albo zainspirować

do rozwoju. Podobnie jak mnie samą inspiruje czytanie i pisanie o ludziach z pasją, bez względu na to, czym się zajmują. Nigdy nie wiadomo, co wyniknie ze spotkania bohatera książki z czytelnikiem, w czym autor tylko pośredniczy. To jest magia biografii, która ma dla mnie nieodparty urok.

JSG: Przedstawia pani życie i wielką pasję pana Marka Treli, z zawodu weterynarza, wieloletniego dyrektora stadniny w Janowie Podlaskim (2000-2016). O jego rodzinie, zesłaniu na Syberię babci z mamą, braciach babci kawalerzystach oraz o powojennych losach bohatera i miłości do koni, ciekawie pisze Pani w książce. Proszę powiedzieć, co najbardziej ujęło Panią w bohaterze, że zdecydowała się Pani napisać o nim książkę?

EB: Pomysł przyszedł mi do głowy po którymś z wielkich sukcesów klaczy Pianissimy, która już za życia stawała się legendą. Chciałam przeczytać biografię jej hodowcy, ale takiej książki nie było. Jednak nie czułam się dość pewnie, aby zaproponować, że to ja ją napiszę. Katalizatorem, który wyzwolił potrzebną determinację, stało się nagłe i niezrozumiałe usunięcie Marka Treli z pracy. Odnosił w niej spektakularne sukcesy. Przez wiele lat dostarczał nam, Polakom, wzruszeń, kiedy dla janowskich koni odgrywano „Mazurek Dąbrowskiego” na pokazach w różnych zakątkach świata, nawet w ojczyźnie tej rasy. Wkrótce pojawiła się też zapowiedź wykładu otwartego na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie. O sukcesach polskiej

hodowli koni arabskich miał opowiadać były już prezes janowskiej stadniny, a także Anna Stojanowska i Jerzy Białobok, zwolnieni tego samego dnia z pracy. Do tej pory zarządzali państwowymi stadninami z powodzeniem, które nie ma swego odpowiednika w żadnym innym kraju. Cała trójka uchodzi za najlepszych specjalistów w tej dziedzinie na świecie. Nie mogłam być tego dnia w Krakowie, więc pomyślałam, że pracując nad książką będę mogła wysłuchać całej serii „wykładów", a wraz ze mną taką możliwość dostaną czytelnicy. Nie wiedziałam wówczas nic o rodzinie, z jakiej pochodzi pan Trela, ale chciałam przybliżyć jego postać. A także przekazać wiedzę o tym, czym jest hodowla koni arabskich i dlaczego nazywa się ją naszym dobrem narodowym.

JSG: Czy ma Pani pomysł na kolejną książkę?

EB: W tej chwili kończę pracę nad czwartym tomem przygód Broszki. Mam też kilka innych pomysłów i rozpoczętych projektów, ale za wcześnie, by o nich mówić. Co z nich wyniknie, dla mnie samej jest jeszcze zagadką.



Ewa Bagłaj, Marek Trela. Moje konie. Moje życie, Instytut Wydawniczy Erica, 2016 r., fragmenty.

WSTĘP

(…) W tej dziedzinie konkurujemy z potęgami ekonomicznymi, takimi jak USA, Rosja czy Zjednoczone Emiraty Arabskie oraz ojczyzną tej rasy, Arabią Saudyjską. Ale to z Polski pochodzą najlepsze i najdroższe konie arabskie na świecie. Nawet liczebnie trudno porównywać naszą hodowlę z tamtymi krajami, wyglądałoby to jak walka Dawida z Goliatem. Podczas gdy w Polsce, sumując pogłowie klaczy państwowych i prywatnych, doszukamy się około tysiąca matek hodowlanych, w Stanach Zjednoczonych jest ich około dwudziestu tysięcy. A jednak wygrywamy europejskie, amerykańskie i światowe czempionaty. Przykład Pianissimy, powtórzony już przez jej pół siostrę Pingę, pokazuje, że możemy wygrywać nawet w ojczyźnie tych niezwykłych koni, w sercu pustyni Nadżd. Dlaczego to jest w ogóle możliwe?

Odpowiedź tkwi w formule państwowej hodowli. Opieka państwa z założenia gwarantuje trzy rzeczy:

Po pierwsze, ciągłość istnienia stadnin; nie upadają z powodu

braku następcy, jak to się dzieje w przypadkach prywatnych stadnin.

Po drugie, dbałość o zachowanie i rozwój najcenniejszych linii hodowlanych, traktowanych jako dobro narodowe, jest na pierwszym miejscu. Zyski, choć też ważne, są na dalszym planie. Dzięki temu wciąż jeszcze dysponujemy unikatową pulą genów, która wyróżnia polską hodowlę. Chyba tylko w państwowej hodowli mogą istnieć konie takie, jak niezapomniana Pianissima, których nie można kupić za żadne pieniądze, jako że z zasady nie są na sprzedaż.

Po trzecie, następstwo wykwalifikowanych fachowców, którzy, zanim obejmą zarządzanie hodowlą, latami uczą się niuansów tej specjalistycznej dziedziny u boku swoich poprzedników. Annę Stojanowską przygotowała do zawodu Izabella Pawelec-Zawadzka, uznawana za największy autorytet w gronie znawców historii hodowli koni arabskich w Polsce i na świecie. Wieloletni dyrektor Michałowa, Ignacy Jaworowski, był mentorem i doradcą swego następcy Jerzego Białoboka, podobnie jak legendarny dyrektor janowskiej stadniny, Andrzej Krzyształowicz, przekazywał swoją wiedzę Markowi Treli.

W ten sposób odbywało się przejmowanie pałeczki w polskiej hodowli od wielu lat. Tradycja ta nie została naruszona nawet podczas wojny. (…)

I właśnie to — polska myśl hodowlana, przekazywana z pokolenia na pokolenie — jest taka unikatowa. To jest nasz narodowy skarb.



Marek Trela (z prawej) i Jerzy Białobok, fot. arh. prywatne, 120 s. książki.

Stadnina podczas II wojny światowej

Aby ratować cenne stado przed hitlerowską ofensywą z zachodu, ewakuowano je wedle rozkazu na wschód, w czym uczestniczył Andrzej Krzyształowicz, zastępca kierownika Pohoskiego. Marsz odbywał się nocami, a obsługa rekrutowała się w większości z przypadkowych osób, jako że wyszkoleni w opiece nad końmi masztalerze walczyli na froncie.

Jeden z pomocników trzymał cztery spięte razem roczne ogierki. Byli to synowie Ofira, z którymi Pohoski wiązał ogromne nadzieje hodowlane. Spłoszone przez wojskową ciężarówkę, wyrwały się opiekunom w okolicy Białej Podlaskiej. Dzięki temu się uratowały. (...)

Niemcy, którym bardzo zależało na przejęciu znanej już na Zachodzie stadniny, wkroczyli do Janowa i zastali puste, zniszczone stajnie. Zaczęli poszukiwać koni, głównie tych pogubionych w czasie ewakuacji, jak synowie Ofira. Zabierali je też pod przymusem od prywatnych hodowców. W ten sposób zagrabiono ze stadniny Anny i Jerzego Bąkowskich z Kraśnicy klacz Bałałajkę, późniejszą matkę „królowej Janowa" — legendarnej klaczy Bandoli wraz z jej matką Łysą.

Niemcy doprowadzili teren do porządku, zachowując przedwojenny schemat organizacyjny hodowli, która wtedy dzieliła się na dwie zupełnie różne instytucje: stado i stadninę. Docelowo zatrudnili jeszcze więcej fachowego polskiego

personelu, niż pracowało tu przed wojną, a kierownictwo nad sprawami hodowlanymi powierzyli również Polakom.

Andrzej Krzyształowicz pełnił funkcję koniuszego stada ogierów. Stanisław Pohoski był konsultantem przy odrestaurowywaniu janowskiej hodowli, a jego sugestie niemiecki komendant, płk. Hans Fellgiebel, traktował jak święte słowo i natychmiast wcielał w życie.

O tym, jak szybko i sprawnie okupanci zorganizowali całe przedsięwzięcie, świadczy fakt, że już w następnym roku, 1940, mogli urządzić w Janowie Podlaskim tradycyjną niemiecką *Hengstparade* — wielką paradę ogierów, prezentowanych także pod siodłem oraz we wszelkiego rodzaju zaprzęgach, której towarzyszył przegląd hodowlany. Co roku było to ważne wydarzenie, odbywające się na placu w centrum stadniny. Zjeżdżała się cała generalicja. W Białej Podlaskiej działało strategiczne lotnisko, a w samym Janowie ulokowano siedzibę wyższego dowództwa Wehrmachtu, toteż wielu oficerów regularnie brało udział również w gonitwach konnych. Bywali tutaj wszyscy ci, o których czytamy teraz w książkach historycznych. W tym grupa osób zaangażowanych w przygotowywanie zamachu na Hitlera, dokonanego 20 lipca 1944 roku w Wilczym Szańcu koło Rastenburga (obecnego Kętrzyna). Jednym z głównych spiskowców był generał Erich Fellgiebel, rodzony brat komendanta stadniny. Tu właśnie omawiano plany.

— Zamachowcy spotykali się na tak zwanych polowaniach, o czym opowiadali mi jeszcze starzy masztalerze — wspomina Marek Trela. *—W samym środku lasu gromadzili się wyżsi generałowie i oficerowie, a las był otoczony Wehrmachtem. Tak wyglądało to „polowanie", żeby oni mogli sobie spokojnie porozmawiać. Większość z tych ludzi zginęła po nieudanym zamachu.*

Ale zanim tak się stało, płk. Fellgiebel korzystał ze swoich koneksji rodzinnych, wyciągając z hitlerowskiego więzienia na zamku w Lublinie pięciu masztalerzy, skazanych przez gestapo na śmierć po wpadce podziemnej organizacji Armii Krajowej.

— To niesamowite, jakie Janów miał szczęście do ludzi, nawet pod okupacją. Fellgiebel bardzo dbał o to, żeby koniom i obsłudze niczego nie brakowało. Okazał się postacią na tyle pozytywną, że był oficjalnym gościem Ministerstwa Rolnictwa w 1956 roku! Przecież to brzmi nieprawdopodobnie. Pułkownik Wehrmachtu, komendant okupowanej stadniny odwiedza świeżo po wojnie Polskę na zaproszenie władzy ludowej. Jeszcze w dodatku podejmowany z honorami. (…)

Wielokrotnie w opowieściach dyrektora przewijał się temat exodusu janowskiej hodowli, wywiezionej przez hitlerowców z końcem wojny do Niemiec. Do opieki nad stadem zabrano wtedy polską załogę, którą po śmierci Stanisława Pohoskiego kierował

Andrzej Krzyształowicz. Towarzyszyła mu żona oraz dwuletnia córka Jadwiga, starsza siostra mającej się dopiero urodzić Barbary.

Konie, ulokowane w Saksonii, musiały wkrótce, przed zbliżającym się frontem, znowu ewakuować się marszem pieszym. Nieszczęściem, przechodząc przez ulice Drezna podczas pierwszego nalotu dywanowego aliantów, trafiły w środek bombardowania. Dwa z nich, Witraża i Wielkiego Szlema, uratował masztalerz Jan Ziniewicz, któremu powierzono je na czas przemarszu. Nie porzucił koni, szukając dla siebie schronienia, lecz siedział na jednym, a drugiego trzymał przy boku.

Mimo wielkiej siły oszalałych ze strachu zwierząt — jedno miało już ogon osmolony od bomby, tak blisko wybuchały — Ziniewicz nie pozwolił im się wyrwać. Wolał z nimi zginąć, niż dopuścić do utracenia przez Polskę dwóch bezcennych ogierów.

— *Trudno sobie wyobrazić współczesną hodowlę bez tych dwóch reproduktorów* — ocenia Marek Trela. — *Ich krew płynie w każdym koniu arabskim, jaki jest w tej chwili wyhodowany w naszym kraju.*



Marek Trela i klacz Alejka, fot. arch. prywatne M. Treli, 149 s. książki.

Pierwsze kroki w roli hodowcy

Dyrektor Krzyształowicz okazał się utalentowanym nauczycielem.

Wybrany przez niego słuchacz zapamiętywał wiele z tych wykładów, specjalnie się o to nie starając, bo przecież nigdy nie chciał być zootechnikiem i nie planował dla siebie takiej przyszłości. Teraz jednak zaczynał patrzeć na budowę i sposób poruszania się koni już nie tylko okiem doświadczonego jeźdźca i praktykującego weterynarza. Nauczył się zauważać i oceniać te cechy, na które zwracają uwagę hodowcy arabów, przede wszystkim typ — jak określają to, co składa się na rasowy„bukiet". Miał do czynienia z jedną z najlepszych hodowli na świecie (której już w tamtym czasie deptała po piętach Stadnina Koni Michałów, zarządzana przez dyrektora Ignacego Jaworowskiego), więc często były to niuanse między pięknym i piękniejszym.

Słuchając planów dyrektora co do przyszłych kojarzeń, uczył się zgadywać — na podstawie sylwetki, ruchu, wyników dzielności na torze wyścigowym, rodowodu i wielu innych danych — co wyniknie z połączenia takiego ogiera z taką klaczą, a co z inną.

Prognozy te weryfikował przegląd hodowlany, który odbywał się w stadninie dwa razy do roku, wiosną i jesienią. Fachowcy zbierają się wtedy, aby ocenić jakość i kondycję koni, a szczególnie urodzonych w danym roczniku źrebiąt. Można było dokładnie przyjrzeć się ogierom i klaczom, prezentowanym na tzw. płycie, nieruchomo, ale swobodnie, z wyciągniętą szyją oraz ich potomstwu. Ocenić, ile źrebiąt odziedziczyło najlepsze cechy

swoich rodziców, podnosząc rozwój rasyna wyższy poziom, a ile nie.

W wyniku tych obserwacji po przeglądach zapadały najważniejsze dla stadniny decyzje. Podejmował je dyrektor Krzyształowicz. Czy debiutujący w roli ojca młody ogier zapowiada się na czołowego reproduktora, czy korzystniej będzie wycofać go z hodowli jak najszybciej?

Zastąpić innym, może nie tak oczywistym pod względem urody, ale jednak poprawnie zbudowanym i — jak widać na przykładzie większości urodzonych po nim źrebiąt — lepiej przekazującym cechy swoich rodziców, o wiele bardziej zbliżonych do ideału arabskiej urody niż on sam?

A może przyczyna niepowodzenia tkwi w doborze nieodpowiednich dla danego ogiera klaczy i warto dać mu jeszcze jedną szansę, zostawiającgo na następny sezon?

Niezliczone czynniki, poparte doświadczeniem, wpływały na ostateczną odpowiedź. Setki takich decyzji, dotyczących każdego ogiera i każdej klaczy z osobna, składały się co roku na plan stanówek, czyli kojarzeń koni — rzecz najważniejszą dla przyszłości hodowli. Jeżeli siedziało się w jednym miejscu wystarczająco długo, jak to określił Andrzej Krzyształowicz, można było w swoich przewidywaniach odnieść się również do

przodków i krewnych konkretnego zwierzęcia, bo ich rozwój widziało się na własne oczy.

Każde źrebię jest zagadką, po narodzinach tylko częściowo rozwiązaną, bo jeśli nawet urodzi się piękne i zdrowe, to dopiero wchodząc w życie, zaczyna zapisywać swoje losy. A wraz z nimi losy macierzystej stadniny. A nawet całej hodowli koni arabskich w Polsce i na świecie.

W rękach hodowcy — prawdziwego szefa stadniny — spoczywa odpowiedzialność za to, jak pokieruje życiem tej istoty, która na niepewnych jeszcze nóżkach niesie niepowtarzalny zestaw genów z unikatowej puli, nazywanej naszym dobrem narodowym. Czy pomnoży ten potencjał, czy zmarnuje powierzony sobie skarb?

Młody doktor z rosnącym zainteresowaniem obserwował kulisy sukcesów hodowlanych Andrzeja Krzyształowicza, który tak znakomicie„czuł sprawę" i który swoje zajęcie nazywał nie pracą, lecz służbą.— *Jeżeli chodzi o hodowlę, to zacząłem przejmować sposób patrzenia na konie od pana Krzyształowicza. To nie było w pełni to samo spojrzenie, bo ja też miałem już swoje wcześniej wyrobione gusta, jakiś ideał konia.*

Hodowla to jest nieustająca konieczność wyboru. Wspaniale byłoby móc kierować się wyłącznie swoim poczuciem tego, co się

chce zostawić albo sprzedać. Przyjmijmy, że stadnina ma mieć określoną liczbę klaczy. Ich selekcja nie wygląda w ten sposób, że ta mi się nie podoba, to ją wyrzucam, a tę, która jest wysokiej jakości, zostawiam. To byłoby zbyt proste. Tutaj jest potrzebny kompromis między interesem hodowli, czyli jakością koni, a interesem stadniny, która musi się utrzymać.

Musi istnieć również kompromis między jakością stada matek a potencjałem genetycznym, który trzeba utrzymać, a więc trzeba zachować różne linie żeńskie i męskie. Te wszystkie rzeczy trzeba jakoś pogodzić. I zawsze któryś z tych interesów musiał ucierpieć. Najczęściej cierpiał hodowca, gdy pozbywał się swoich ulubionych koni.



Ewa Bagłaj, fot. FAPA-PRESS.

Ewa Bagłaj – polska pisarka, autorka powieści dla młodzieży i biografii, dziennikarka prasowa. Uzyskała magisterium z filologii polskiej na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Absolwentka podyplomowego studium dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Jako dziennikarka publikowała m.in. w „Dzienniku Wschodnim", „Słowie Podlasia", „Koniu Polskim". „Sukcesie" czy na portalu – Polskiearaby.com. W swoich książkach najchętniej porusza tematykę psychologiczno-społeczną, a także kwestie ekologii i

ochrony praw zwierząt, głównie koni. W utworach często obecne są wątki związane z końmi i jeździectwem.

Autorka książek:

- *Broszka* – powieść dla młodzieży, wyd. Świat Książki, Warszawa, 2005.
- *Dublerka* – kontynuacja przygód Broszki, wyd. Świat Książki, Warszawa 2007.
- *Słoneczna dziewczyna. Opowieść o Klementynie Sołonowicz-Olbrychskiej* – biografia, wyd. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2007.
- *Prymuska* – powieść dla młodzieży – kontynuacja przygód bohaterki książek *Broszka* i *Dublerka*, wyd. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2013.
- Marek Trela. Moje konie. Moje życie, wyd. Instytut Wydawniczy Erica, Warszawa 2016.